

nadodrże

ZIELONA GÓRA
POK XXXII NR 20 [677]

2 X — 15 X 1988 R.
CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

*Gerzy Piotr
Majchrzak
Wambrze
magdalen*
naszego
pisma

Wojna
niech legendą będzie
KLUB
WAMPIROW
SCENY
mitosne
Kochadelfka



„Jest więc ten festiwal wyłącznie wielkim, kilkudniowym koncertem, niczym więcej w sensie artystycznym...” Jak to roku uczestniczył w nim Lubuski Zespół Pieśni i Tańca

Fot. Czesław Luniewicz

Winobraniowe notatki-88

IN VINO VERITAS

Halina Ańska

„Zmory” Zegadłowicza cztery tysiące, „Kompleks Portnoy’a” Rotha pięć, „Skoro ławki” Nienackiego dziesięć, pięciotomowy Stendhal dwadzieścia, Koran trzydzieści, Dzieje Polski PWN czterdzieści, Encyklopedia Powszechna cztery tomy osiemdziesiąt pięć tysięcy złotych. Obiad? Jest! „Obiad” Krzysztonia. Za siedem tysięcy złotych.

Jubilerskie ceny rupieci! Lichtarz zachwalany przez sprzedawcę jako prawdziwy Norblin, choć bez firmowego znaku, trzydzieści pięć tysięcy. Inny, też niesygnowany, pięćdziesiąt. Połamana drewniana rama z resztkami gipsowej gipsury, dziesięć. Kiczowata szkiana sowa w kolorze wściekły róż, z żarówką w brzuchu, dziesięć tysięcy złotych lub sześć marek zachodniemieckich. Tacka z wizerunkiem Reichstagu osiem tysięcy złotych lub pięć marek.

Świat się starzeje, a starość odmładza. Są wśród nich przedmioty już nie tylko z lat 50-tych, ale 60-tych i 70-tych. Kieliszek z grubego szkła, pod nim kartka z datą: 1961 r. i ceną: 1800 zł. Rzeczka wyceniona najwyższą na całym deptaku, poza kozuchami, jest różaniec. Sprzedawca zaklina się, że paciorki zrobione są z „oryginalnej czarnej perły” i żąda za ten „kiejnot” 155 tysięcy złotych!

Ocieplane kurtki, malowane bluzki, marmurkowe dzinsy, góralskie kapele, gorąca kielbasa. Koralki, koguciki, baloniki i cukrowa wata. Jak w piosence, która mówi: tym, czego „najbardziej mi żal”. Może kiedyś i my wspominać będziemy z lekka ten odpustowy zielonogórski tydzień?

Pod teatrem koncertują na przemian krzypek i cymbalista, niech im niebo odpuści fałszy, zgrzyty i pomyłki. Uta-entowana dziewczyna szkicuje na poczęstunku portrety. Student medycyny miewy ciśnienie. Pod ratuszem multinstrumentalista w stylu dixieland, z babciną faszyną pralką. Dzieje się coś obok, na strażdzie przed apteką. Ale ilokroć podejść bliżej, trafiam na próbę mikrofonów, strojenie instrumentów, sprzątanie lub przerwę.

W przeciwieństwie do stłoczonych na odcinku od Teatru do Muzeum ciuchów, książek, drobiazgów i rupiecio-staroci, sztuka ludowa na placu przed Ratuszem prezentuje się dość skąpo. Nieliczni twórcy ludowi i amatorzy odsiedzieli swój czas w budkach, po czym — a jest właśnie winobraniowa niedziela, godz. 13.30 — pakują się i już ich nie ma. Z informatora dowiaduję się, że wystawiali swe dzieła również w pasażu Domu „Centrum”.

W Ratuszu wręczenie dorocznych nagród kulturalnych i (po raz pierwszy) naukowych Prezydenta Zielonej Góry. Wśród nagrodzonych nasz redakcyjny kolega Zenon Łukasiewicz. Przy okazji lampka dobrego wina i rozmowy w dobrym towarzystwie — myślę tu o Lubuskim Towarzystwie Kultury, również uhonorowanym nagrodą. (Nazwiska wszystkich nagrodzonych drukujemy w tym numerze „Nadodrza”).

Klub Video w kawiarni „Bierlozka” zaprasza na projekcje filmów science-fiction, nazwane szumnie „Miejskimi Bachanaliami Fantastyki”, podobna mi się ta dbałość o formę. Spółdzielczość pracy i inwalidów — na festyn przy ulicy Sulechowskiej. Muzeum — na wystawę fresków serbskich, ściągniętych z zaprzyjaźnionego i naszym miastem jugosłowiańskiego Kraljeva Salon BWA — na wystawę fotograficzną „Wenus 88”. Biblioteka Wojewódzka — na benefis architekta i dziennikarza Tomasza Florkowskiego Klub sportowy „Novita” — na turniej tańca towarzyskiego dorosłych i dzieci. Święto Prasy 88 — na niedzielny koncert estradowy. Palmiarnia — na winobraniowy bal.

A tymczasem w Amfiteatrze tańczy i śpiewa trzynasty Międzynarodowy Festiwal, z udziałem dwunastu zespołów, w tym dwóch z Polski. Widownia wypełniona w połowie, czasem w trzech czwartych. Ścisłu nie ma, ale oklaski mocne.

ciąg dalszy na str. 4

Opinie i refleksje

BUSH CZY DUKAKIS?

Kampania o fotel prezydenta USA wkracza w ostatnią fazę. Obaj kandydaci — 54-letni demokrat Michael Dukakis i starszy od niego o dziesięć lat republikanin George Bush nieustannie podróżują po Stanach, przemawiają, odpowiadają na setki, także najbardziej dziwnych, pytań, ścisają tysiące rąk, obrzucają się wzajemnie przez różnymi inwektywami. Wszystko w stylu, guście i tradycji amerykańskiej. Tak będzie do 8 listopada, kiedy to jeden z nich zostanie czterdziestym pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych, człowiekiem obdarzonym konstytucyjnie największą na świecie władzą.

Kto nim zostanie: potomek greckich imigrantów, krzaczastobrewy, do niedawna jeszcze mało znany nawet w USA, gubernator Massachusetts, czy polityk z pierwszych stron gazet, przed siebie biorący naftowy z Teksasu, od dwu kadencji wiceprezydent Stanów Zjednoczonych przy Ronaldzie Reaganie? Obaj kandydaci, to stwierdza wielu, nie są indywidualnościami. Republikanie ukuli nawet hasło: „kim jest Mike”, kto to taki?

Jako gubernator Dukakis okazał się dobrym gospodarzem, zlikwidował w swoim stanie bezrobocie, załatwił kilka ważnych problemów społecznych. W polityce zagranicznej to jednak nowicjusz. I tutaj punkty zbiera Bush, wytrawny wojacz, który w blasku czy cieniu Reagana, odwiedził najważniejsze miejsca na świecie. Pamiętamy go też z wizyty w Polsce. Niektórzy nawet dowcipkowali, że to właśnie u nas Bush rozpoczął kampanię przedwyborczą, żeby pozyskać sobie głosy amerykańskiej Polonii.

Przyszły prezydent USA to także partner w rozmowach z Michaiłem Gorbaczowem. Niedawno Nixon, były gospodarz Białego Domu, z którego odszedł, przed upływem kadencji, w dramatycznych okolicznościach, powiedział, że oprócz Stalina poznał wszystkich przywódców radzieckich. Najbardziej cenili odwagę, logikę i argumentację Michaiła Gorbaczowa, któremu w rozmowach bardzo trudno dorównać. Z dwu kandydatów doświadczenie dyplomatyczne posiada tylko jeden — Bush. I to 8 listopada będzie z pewnością profitem dla korzyści obecnego wiceprezydenta.

Dukakis przekonuje Amerykanów, że to nie konserwatywna taktyka Reagana a dynamiczna polityka Gorbaczowa spowodowała, że nastąpiło zbliżenie USA — ZSRR. Amerykańscy wyborcy, wśród których Gorbaczow cieszy się dużym prestiżem, mogą przyznać rację Dukakisowi, zwłaszcza że przecież parefer, z Iran — kontras na czele, w pewnej mierze obciążają także konto Busha, który w minionym osmościu, na wet ograniczony w kompetencjach, niczym nie zabłysnął.

Warto przytoczyć tutaj odpowiedź Dukakisa na pytanie waszyngtońskiego biskupa Martina: czy będzie kiedykolwiek możliwa całkowita eliminacja broni nuklearnej? „Byłoby nierealistycznym przewidywaniem” — stwierdził Dukakis — lub obcyzowaniem, że broń nuklearna może zostać całkowicie wyeliminowana. Musimy jednak zabiegać, by nuklearne broń zeszła do możliwie najniższego poziomu, który by sprowadził do minimum szanse wybuchu światowego konfliktu nuklearnego.

Bush, w którego kampanii przedwyborczej pojawiło się wiele akcentów zimnowojennych, opowiadał się za programem budowy pocisków MX i Midgetman, za rozwojem obrony strategicznej, co w przypadku wybrania go prezydentem, zwiększyłoby wydatki wojskowe USA i z pewnością skomplikowało stosunki Wschód — Zachód.

Dzieje USA dowodzą, że często kandydaci na prezydentów zmieniały zdanie, kiedy zamieszkali w Białym Domu. Największym dowodem jest ewolucja stanowiska Reagana wobec Związku Radzieckiego, zbrojeń nuklearnych i innych podstawowych dla dzisiejszego świata problemów.

Kto zatem zostanie czterdziestym pierwszym prezydentem USA? Wydaje się, przynajmniej na miesiąc przed wyborami, że najbliższym prawdy jest cytowany tu Nixon, który przewiduje, że zwycięży Bush nieznaną większością głosów, a o wszystkim zadecydują wyborcy w Kalifornii. Natomiast inni uważają, że dziś fotele prezydenta USA znajduje się w rękach wyborców w Teksasie. Wszyscy są zgodni, że jeśli nie w niedługim czasie istotnego się nie wydarzy, będzie to zwycięstwo Busha lub Dukakisa „rzutem na taśmę”, jakby to określili sprawozdawcy sportowi. Zobaczymy.

JACEK WOCH

Z prasy radzieckiej

Umowa dzierżawna to nowa forma organizacji produkcji rolnej w Związku Radzieckim, której efektywność znajduje coraz szersze potwierdzenie w praktyce. Równocześnie słyszy się pryncypalne zarzuty, że umowa dzierżawna to odradzanie kulaństwa w rolnictwie. Dziennik „Izwestia” zamieścił wywiad z ekonomistą R. Praustem, szefem utworzonego przed rokiem w miejscowości Rytalowo laboratorium Wszechzwiązkowego Instytutu Naukowo-Badawczego Ekonomiki Rolnictwa Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych im. Lenina. Publikujemy obszernie fragmenty tego wywiadu.

P. Czy upowszechnienie umowy dzierżawnej właśnie w rejonie pytałowskim nie jest związane z tym, że właśnie tutaj w sąsiedztwie republik nadbałtyckich, mieszkający wsi nie zapomnieli jeszcze swojej chłutorowej przeszłości i zachowali szczególne przywiązanie do ziemi? Zupelnie jakby przerwała się ta ma — tak szeroko rozwinął się tutaj proces przekształcania się kolechozników i pracowników sowchozów w nowoobjawionych farmerów.

O. Może pan nazwać ten proces powrotem chłopstwa do ziemi — karmicielki... Faktem jest, że wielu zasiedlonych pytałowszczyzn rzeczywiście pamięta życie w chutorach (oddzielne, rozrzucone po okolicy zagrody chłopskie). Pamiętają jednak i coś innego, na przykład kolektywizację, która zakończyła się tu dopiero w latach powojennych, jak też jej przebieg. Ta właśnie pamięć sprawia, że ludzie są ostrożni. Nawet jeśli chodzi tylko o zawarcie umowy dzierżawnej na ziemi, to boją się, że zostaną zaliczeni do kulaków. Niedawno przejechał do mnie dzierżawca z sowchozu „Wysogorodskij” — chłop, ogólnie rzecz biorąc, obyty — i mówi: a nie wydaje ci się, Praust, że jeśli rozwinie się umowa dzierżawna, a podejście się zmieni, to — ponieważ balaćmusz tu naród, nie wyjdzie ci to na dobre, a nam razem z tobą? Czy ty sam jesteś przekonany, że tak się nie stanie?

P. Tym ważniejsze jest więc wyjaśnienie do końca ekonomicznej i społecznej istoty umowy dzierżawnej, zrozumienie, gdzie ona nas prowadzi. Przekonanie się, że socjalizm na tym nie uciurpi...

O. Rzecz w tym, iż do niedawna — można powiedzieć dokładnie do kiedy — do ubiegłorocznego czerwcowego plenum KC partii nasze poglądy teoretyczne bazowały właśnie na tym, że umowa dzierżawna jest nie do pogodzenia z zasadami socjalizmu, z pojęciem własności socjalistycznej. Później wielu z nas, naukowców od razu „przejrzało na oczy”. Ale to inny temat: Nasza produkcja społeczna we wszystkich gałęziach, we wszystkich sferach i regionach bazuje na systemie najmu pracowników, a dokładnie mówiąc na systemie pracy najemnej z jej znanym wyobcowaniem pracownika, ze środków produkcji i rezultatów pracy. W ramach tego systemu własność zaczęła przekształcać się stopniowo jakby w nic, czyja, a tym samym w obcą. W tym właśnie tkwi źródło wielu naszych nieporozumień, zwłaszcza w rolnictwie, gdzie bardzo boleśnie odbiło się naruszenie odwiecznej więzi chłopca z ziemią. Umowa dzierżawna, stanowiąca formę najmu majątkowego, to znaczy inna jakościowo system organizacji produkcji społecznej i stosunków produkcyjnych w socjalizmie, przywraca możliwość samodzielnego prowadzenia gospodarstwa chłopskiego. Równocześnie jest to praca nad realizacją zadań stojących przed kolechozem czy sowchozem. A ponadto odpowiedzialność zarówno za ilość produkcji, jak i za wielkość nakładów na nią — odpowiedzialność nie formalna, lecz poprzez swój dochód osobisty, przez swój dobrobyt. Tu już nie ma miejsca dla wyobcowania. Jeśli rubel został stracony na darmo, to jest to rubel z własnej kieszeni, ale też i każdy kilogram dodatkowych zbiorów czy udojów, to czysty zysk dzierżawcy. Na razie mamy niewiele doświadczeń, ale jest już wiele przykładów potwierdzających, że przejście na stosunki dzierżawne to z reguły zauważalny wzrost rezultatów pracy chłopskiej. Niekiedy w słabych gospodarstwach — to nawet nie wzrost, lecz gwałtowny skok. Weźmy choćby zespoły dzierżawne B. Buksza i W. Wriedowa z kolchozu „Rodina” — już w pierwszym roku pracy po nowemu zebrali oni z hektara po 27 kwintal zbóż, podczas gdy u pozostałych, pracujących po staremu w ich własnym kolchozie, wydajność wyniosła zaledwie 12—13 kwintali. To samo dzieje się w hodowli. Na przykład kolchoz „Bielorusskij” w rejonie niewielkim — tam dzierżawcy zajmujący się tuczem roga-

cizny mieli dobowe przyrosty wagi 1050 gramów, zaś kolchoźnicy zaledwie 400. Również nakłady na kilogram mięsa były u dzierżawców prawie trzy razy mniejsze. Nie przypadkowo pskowszczyzna tak chętnie skorzystała z umowy dzierżawnej — w niej widzi się wyjście z trudności gospodarczych, niskoproduktowności i nierentowności kolchozów i sowchozów, a takich jest, niestety, w obwodzie dużo, dziewięć na dziesięć.

P. Ponieważ umowa dzierżawna dotyka podstawy życia wsi — ekonomiki, więc jej oddziaływanie przejawia się z pewnością nie tylko we wzroście udojów czy zbiorów... Czy nie mam racji?

O. W rejonie pytałowskim zaczynała już następować pewne zmiany w organizacji ekonomicznej (również w poziomie socjalnym), które dyktuje sama logika nowych — dzierżawnych stosunków. Są to bardzo interesujące zmiany. Przytoczę przykład. Jak wiadomo, słabe ekonomicznie gospodarstwo otrzymuje od państwa dodatek do ceny skupu jego produkcji. Dodatki nie są z reguły jednakowe i są one wyższe dla tych

P. No dobrze. Kolchoz „Rodina” i inne gospodarstwa przechodzą w całości na system dzierżawny. Cóż to daje?

O. Jak pan rozumie, kilka miesięcy pracy nowym systemem to zbyt krótki okres dla wielkich uogólnień. Są jednak fakty, których nie sposób nie zauważyć. W ciągu pięciu miesięcy tego roku dzierżawcy z kolchozu „Rodina”, uzyskali od krowy tyle samo mleka, ile kolchoz za cały rok ubiegły. Prawda jest, że udoje były tam niskie.

P. Mówimy z panem: kolchoz „Rodina”, a czy jest to teraz kolchoz, jeśli całe gospodarstwo zostało oddane w ręce dzierżawców?

O. Kolchoz. Tylko nie taki, jaki był dawniej. Formalnie jego status się nie zmienił, jednakże jeśli chodzi o charakter działalności produkcyjnej, to jest to obecnie spółdzielcze zrzeszenie zespołów dzierżawnych.

P. Gospodarstwo nowego typu... A do kąd te wszystkie przeobrażenia i zmiany prowadzą?

O. Jeśli wydzielić rzecz najważniejszą, to dla pracownika umowa dzierżawna oznacza przede wszystkim konie-

ctwo postawienia w sobie stanowisko brygadzysty. Ale dzisiejsi brygadziści wykonują równocześnie pracę techników sztucznego nasienienia, zastępują w wolne dni członków zespołu. Nawiasem mówiąc, tam również nie podejmowano żadnych uchwał w sprawie rewizji zakresu obowiązków. Jeśli chodzi o głównych specjalistów, to w rejonie trwa obecnie proces przedstawiania opłaty za ich pracę w zależności od dochodu gospodarstwa, jako spółdzielczego zrzeszenia dzierżawców (do chod ten tworzy się z różnicy między cenami skupu za sprzedawaną państwu produkcją i cenami, po jakich jest ona nabywana u dzierżawcy). W ten sposób tworzy się bezpośredni związek wyników pracy zespołów dzierżawnych.

P. Rozumiem, iż zaletą umowy dzierżawnej jest to właśnie, iż jest ona ukierunkowana na maksymalną intensyfikację pracy. Ale równocześnie ta właśnie jej cecha budzi też obawy — czy nie przekształci ona z czasem ludzi w żywe mechanizmy, nie zuboży ich duchowo, pozbawiając ich czasu dla rodziny, na normalny wypoczynek, na czytanie itd.?

O. Przeglądaliśmy się naszym pytałowskim dzierżawcom i zauważyliśmy, że od samego początku w ich zespołach szła walka nie tylko o to, żeby na swoim miejscu pracy nie tracić ani minuty, ale i o optymalizację swojego budżetu czasu. Zalety dzierżawy przyczyniają się do tego. Nie ma tam ścisłej reglamentacji, kiedy zaczynać i kończyć pracę, kiedy zajmować się tym czy owym. Jest to dla nas również nowość. I trzeba mieć określoną kulturę, żeby się nie zgubić, nie przekształcić w żywą maszynę. Anatolij Wołoczenski, przy rozliczeniu niepełnego ubiegłego roku, miał dochód 7 tys. rubli, to znaczy on i jego rodzina zarabiali — można powiedzieć — po 800 rubli miesięcznie. Jednakże Wołoczenski, ceniąc, zgodnie z jego słowami, nie zarobione pieniądze, lecz to, że obecnie ma możliwość dysponowania swoim czasem według własnego upodobania.

P. A czy sami dzierżawcy gotowi są pracować tak, jak wymagają tego nowe warunki?

O. Niestety, wśród tych, którzy podpisali umowy dzierżawne jest wielu ludzi, którzy — jeśli chodzi o kwalifikacje i cechy czysto ludzkie — nie są w stanie pracować w warunkach samodzielności i samodzielnego zarządzania. Jest to dziedziczenie przeszłości, kiedy przez całe lata wyrabiano nawyk, iż ktoś odgórnie winien obowiązkowo dać wskazówki co robić, jak i kiedy. A tu nagle trzeba samemu decydować.

P. Obwód pskowski już od prawie dwudziestu lat z roku na rok zmniejszał produkcję rolną. Szczególnie trudna sytuacja jest w hodowli. Czy umowa dzierżawna może dokonać cudu i na początek zatrzymać przynajmniej ten spadek, by później zacząć zwiększać produkcję? Czy w wydolonych wsiach znajdują się niezbędne do tego siły?

O. Wyjdźmy ze znanego już założenia, iż w zespołach dzierżawnych efektywność produkcji nie może być niższa od określonego minimum. Z uwzględnieniem tego dokonaliśmy obliczeń, z których wynika, że przy obecnej bazie paszowej i zasobach materiałowo-technicznych, jeśli zespoły dzierżawne w obwodzie będą pracować tak, jak pracują dzisiaj, wzrost ubojów winien od razu wynieść 38—30 procent, zaś produkcji mięsa — do 40 procent. Czy starczy za sobów ludzkich?... W rejonie pytałowskim przeprowadzono słyby bez zakładów patronackich i na przygotowanie pasz również ich nie zapraszają. Znaczący to, że można się uporać ze wszystkimi takimi siłami, jakie są do dyspozycji. W innych rejonach również można, jeśli tylko rozwinie się szerzej system dzierżawny. Jeśli chodzi o cud, to nie wiem, ale stabilizacja gospodarki rolnej przy pomocy dzierżawy jest sprawą zupełnie realną.

gospodarstw, w których wyższe są nakłady indywidualne i niższe rentowność. Zgodnie z tym systemem przyzwierania umów dzierżawnych w rejonie pytałowskim zostały ustalone różne ceny, po jakich kolchozy i sowchozy zakupują produkcję u dzierżawcy. I już w ubiegłym roku dzierżawcy podnieśli problem, dlaczego na przykład w kolchozie „Rodina” ustanowiono cenę rozrachunkową 33 kopiejki za kilogram mleka, w sąsiednim sowchozie „Bielorusskij” tylko 28? Kierownictwa i specjaliści próbowali wyjaśnić, że w „Rodinie” jest niby niższa produktywność, a w odpowiedzi usłyszeli: niech więc lepiej dojdą. Ci mówią, że tam nie tylko udoje są niższe, ale i wyższe nakłady na produkcję, a tamci: niech więc w „Rodinie” zmniejszą nakłady... W istocie rzeczy, poprzez stosunki dzierżawne zaczęły działać tutaj zasady realnej ekonomiki. Przecież kiedy przycho- dzimy do sklepu, to nie przedstawiamy zaświadczenia o wysokości zarobków — ceny są jednakowe dla wszystkich. Winny one stanowić odbicie poziomu niezbędnych społecznie nakładów. Dzierżawcy nawet nie będą wielkimi specjalistami od ekonomii politycznej, szybko zrozumieją ekonomiczną istotę obecnej sytuacji. No i kierownictwa gospodarstw oraz rejonu były zmuszone zgodzić się, że winny być ustalone zarówno jednolite ceny rozliczeniowe dla dzierżawców, jak i jednolite ceny sprzedaży dla wszystkich gospodarstw. Od bieżącego roku ceny skupu, włącznie z dodatkami, stały się jednakowe. A to zwiększa rolę takiego czynnika, jak umiejętne kierowanie gospodarstwem, rzeczywista przedsiębiorczość. Jeśli się głębiej zastanowić, to historia z cenami świadczy również o tym, że umowa dzierżawna prowadzi do demokracji zarządzania gospodarstwem. Zmusza ona pracownika dzierżawę do udziału w wypracowaniu ekonomicznych warunków gospodarowania, dlatego, że dla niego cena nie jest oderwaną wielkością, lecz odczuwalnym faktem, od którego zależy jego dochód, jego samo poczucie, zadowolenie z pracy. Wraz z przejściem na umowę dzierżawną w sposób nieunikniony zmienia się cała organizacja produkcji, jak też sama struktura gospodarstwa.

Powstała mozaikowa struktura, ale jest ona związana z dzisiejszymi realiami produkcyjnymi. Są rodziny dzierżawcy, rzeczywiste podobne do farmer- skich, które hodują po 15—20 krow, a z drugiej strony, na przykład, we wsi Nosowo zjednoczyło się 9 pracowników i wzięli 183 krow — oni zakupują i pasze, i wszystko, co niezbędne dla ferm. Są to swoiste możliwości i własny rachunek gospodarczy. Jeśli chodzi o produkcję roślinną tego kolchozu, to zamiast dwóch poprzednich brygad po łowych i jednej brygady traktorzystów pracują obecnie cztery ognia dzierżawne. Mają one do dyspozycji zasadniczą część iak i pastwisk oraz maszyn. Ale to nie wszystko. 14 samochodów kolchozu zostało przekazanych w dzierżawę kierowcom, a warsztaty remontowe wzięło na umowę dzierżawną sześć osób. Tu już dominuje nowy system — najem majątkowy. Już pięć kolchozów i sowchozów — na 12 w rejonie — jest na tym etapie, że umowa dzierżawna staje się dla nich systemem gospodarowania.

P. Chciałoby się wierzyć, że nie ujawniła się tu nasza stara skłonność do popadania ze skrajności w skrajność. W rolnictwie już nie raz modne pociągnięcia były zgodnie podchwytywane... na komendę z góry.

O. Oportuniści podchwytawali i bez komendy z góry. Teraz są inne czasy. A w ogóle... to nie będę dowodził, że nie ma już u nas wcale prób wybiegania naprzód.

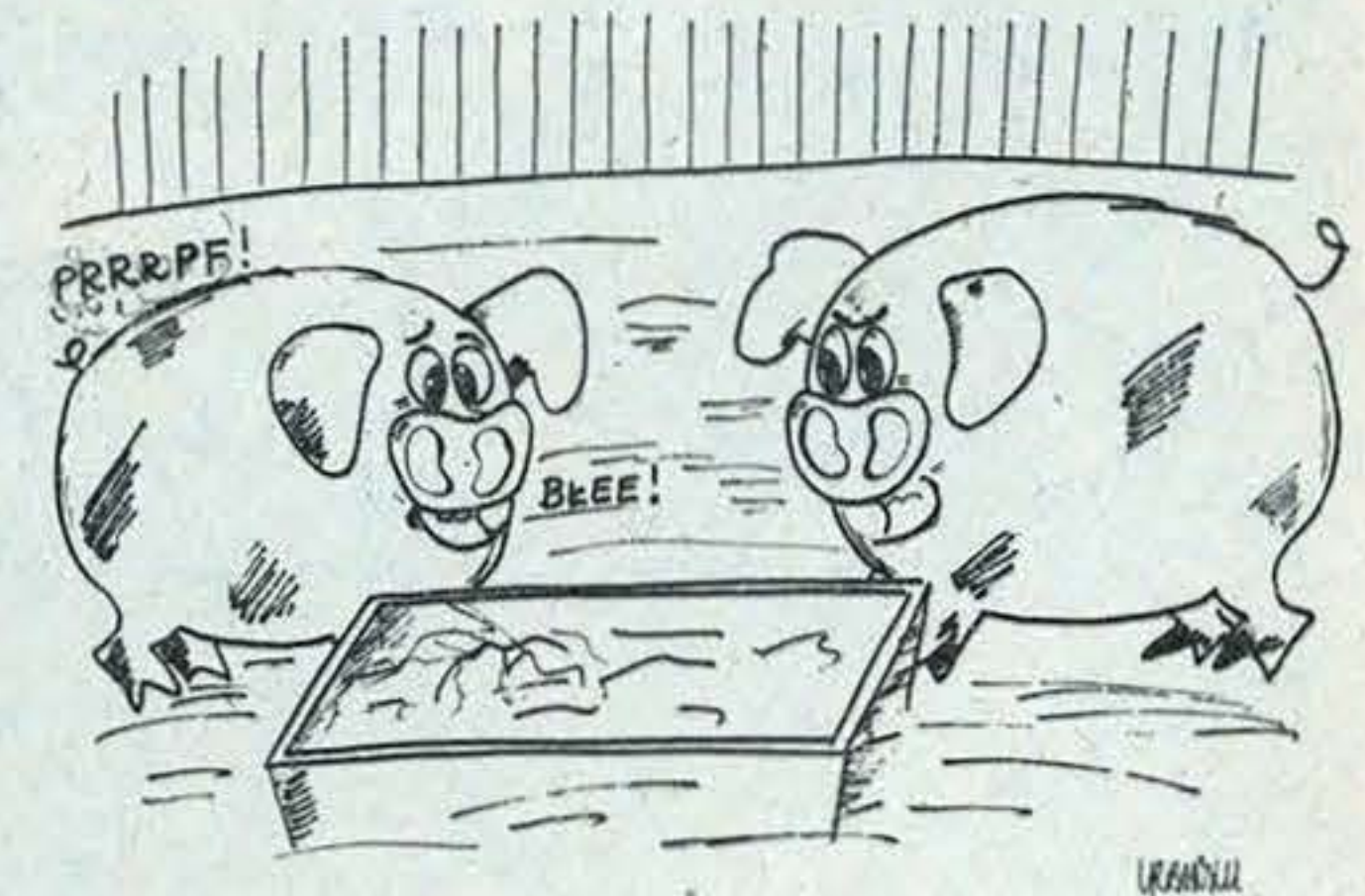
czność pracowania inaczej — racjonalnie, mądrzej, z lepszymi rezultatami. Tak, chodzi rzeczywiście o bardziej intensywną pracę. Na poprzedniej ekstensywną i nakładowej bazie, umowa dzierżawna nie może istnieć.

P. Mówią, że do tej „nauki” rejon pytałowski wziął się najgorzej i nie prasał w tym roku o pomoc mieszkan- ców miast, ani w okresie siewów, ani przy zbiorze pasz.

O. Tak, w tym roku zasialiśmy sami, bez pomocy zakładów patronackich, i z siłami uporałymi się sami. Nie- bywały fakt... Jest to oczywiście wynik przedstawiania produkcji roślinnej na warunki dzierżawy. Wiosną rozmawiałem z dyrektorem sowchozu „Rogowski” W. Osipowem. I nagle powiedział on: „już maj, a ja jeszcze nie wydałem ani jednego polecenia — ani o rozpoczęciu, ani o dostarczeniu paliwa, ani o przygotowaniu ziarna siewnego. Wychodzi na to, że jako administrator nie jestem potrzebny dla przeprowadzenia kampanii siewnej, a pewnie i nigdy nie byłem potrzebny”. Dyrektor oczywiście nie myślał, że jest niepotrzebny, bo przecież to właśnie on powinien zapewnić, by w sowchozie było wszystko, co niezbędne — i paliwo, i nawozy, i maszyny, zaś dzierżawcy nie musieli biegać po bazach zaopatrzonych — ale interesujące jest to, że umowa dzierżawna ujawniła nieprzydatność biurokratycznych funkcji szefa. Polecenia są rzeczywiście teraz niepotrzebne. Ludzie sami wiedzą, co mają robić.

P. Z pewnością redukcja aparatu zarządzania staje się w warunkach umowy dzierżawnej nieunikniona?

O. Rzecz nie w ilości aparatu — lecz w jego nowych funkcjach i kryteriach oceny jego działania. Wróćmy jeszcze raz do kolchozu „Rodina”. Obecnie w jego dziesięciu zespołach dzierżawnych nie ma ani jednego zawodowego kierownika i nie podejmowano żadnych specjalnych uchwał zarządu w sprawie redukcji kadry. Uformował się zespół dzierżawny i były brygadziści albo zostali w jego składzie, albo przeszli na inny niezbędny odcinek pracy. W sowchozie „Bielorusskij” z jego dobrze rozwiniętą hodowlą, przy przechodzeniu na umowę dzierżawną kilka zes-



— Nie obrzydzą

Rys. Sławomir Urbanicki

Pasją Jerzego Piotra Majchrzaka jest historia. Ona też w sposób zwracający uwagę wywarła wpływ na jego życie. Bo przecież wszystko mogło wyglądać inaczej.

Nasz tegoroczny laureat urodził się w Złym Komorowie na Dolnych Łużach (obecnie Zły Komorów — Senftenberg w NRD), dokąd już pod koniec XIX w. spód Stęszewa w Poznańskiem wywędrował za chlebem jego dziad, Piotr Szydłowski, podobnie jak wielu innych Wielkopolan. Dziad przyczynił się do rozwoju niemieckiego górnictwa węgla brunatnego, ale też założył liczną rodzinę. Miał sześciu synów i córkę. Córka to właśnie matka Piotra. W tej rodzinie nigdy nie zapomniano „skąd nasz ród”. Piotr, który ze względu na wiek i dzięki staraniom najbliższych oszczędził sobie doświadczeń niemieckiej „kinder stutuby”, wyrastał w atmosferze polskości.

Po wojnie, która trwała o wiele za długo i pochłonęła wielu członków jego rodziny, dziad — opiekun uznał, że czas

języka niemieckiego i historii, łącząc te zajęcia z aktywną działalnością w ZHP i w ruchu społeczno-kulturalnym. Nigdy jednak nie zrezygnował ze swoich zainteresowań historią, zwłaszcza tą na styku dziejów Polski i Niemiec w XVIII i XIX wieku, która im bardziej ją poznawał, stawała się jego pasją. Jak zwierzył się w jednym z wywiadów dla naszego pisma, historia jest dla niego ciągiem wydarzeń, przyczyn i skutków, które wpływają w mniejszym lub większym stopniu na nasz los. Jest nie tylko pewnym obrazem przeszłości, ale też dniem dzisiejszym, gdyż nawet to, co działo się przed chwilą, jest już historią. Istnieje historia w różnych formach, jej wytworem jest również człowiek, choć człowiek także tworzy historię. Głównymi sprawcami historii są masy ludzkie i ruchy społeczne, lecz jednostka też wywiera duży wpływ na przebieg dziejów. Oczywiście jednostka o umiejętnościach oddziaływania na masę, jednostka charyzmatyczna.

Z tych zainteresowań zrodziła się pra-

obdarzony talentem publicystycznym traktuje prasę jako ważny instrument poznania i popularyzacji nauki. Współpraca z prasą nie godzi w prestiż naukowca. Trudno nie zauważyć, że zdolność ta najczęściej towarzyszy ludziom, którzy w dziedzinie uprawianej przez siebie wiedzy mają sporo do powiedzenia.

Mozna sobie wyobrazić, jak olbrzymi materiał miał do przesiedzenia w swej pracy dr Majchrzak — ale jak sam twierdzi — była to również wspaniała przygoda. Np. w połowie XIX w. opinia publiczna w Niemczech, co prawda przez krótki okres, odnosiła się z niezwykłą sympatią do polskich dążeń niepodległościowych, co znajdowało swój wyraz na łamach części prasy niemieckiej. Można się było z tym spotkać i później, już w czasach narastania pruskiej fali germanizacyjnej, czego przykładem był ukazujący się w Zielonej Górze (nomen omen: w budynku, w którym mieści się obecnie redakcja „Nadodrza”) redagowany przez dr Wilhelma

Wojna niech legendą będzie...

Halina Skarbek

Motto:

Przy ognisku pod Lenino
Prometeusz objął nas ramieniem
długim jak kolej transsyberyjska
Po białopięnnych brzościach nieskazanych prochem
rozwił się dym
i chrust skwierczał
jak wzięte w ogień młode ciało Anieli Krzywon
Ci którzy kiedyś tędy do Polski szli
jakby znów z ran się podnieśli na helmu wzgórze
a Chagall z Witebska
przyłapał im do ramion husarów skrzydła
Chcieliśmy ich na chwilę zatrzymać przy sobie
by ogrzali się
zanim na ostatni pobiegł okop
Jakby ich oddech
ognisko ścichło
i wdowa historia na pożegnanie podała nam chłodną dłoń

(fragment wiersza Janusza Koniusza)

Droga jest piaszczysta, pełna kołein. Autobus tędy nie przejeździe. Pasażerowie wysiadają. Dalej pój-

dą pieszko. Jest ich zaledwie kilkunastu. Wszyscy dawno po demobilizacji. Znają tę drogę. Kiedyś tu byli. W tych lasach budowali dla siebie ziemianki. Tu mieszkali, przechodzili szkolenie wojskowe, chodzili na zwiady, stali na warcie. Czekali na rozkaz.

Spędził tu całą jesień 1944 roku i część zimy 1945. Tutaj właśnie, w lesnych gąszczach, od Radzanowa i Sawina — po Janów i Zawadówkę — na Ziemi Chełmskiej, formował się I Polski Korpus Pancerny. I stąd, pod dowództwem generała Józefa Kimbary wyruszył w swój bojowy szlak — pod Drezno, Budziszyn, Łużycę, aż do Pragi.

Ci mężczyźni, — teraz sześćdziesięcioletni, siedemdziesięcioletni, mieli wówczas po dwadzieścia lat. Są podenerwowani i wzruszeni. Przyjechali tu po latach. Właśnie odbywa się w Chełmie Zlot byłych żołnierzy I Korpusu, trzeci z kolei. Dwa poprzednie zloty miały miejsce w Zaganiu w roku 1984 i 85.

Uczestnicy Zlotu — jest ich ponad czterystu, dzieła się teraz na dawne brygady i pułki. Chcą wspólnie, jak to powiedział — wtedy sierżant — dziś generał Edward Łeńcuć, poszukać w tych lasach śladu swojej młodości.

Przyłączam się do II pułku moździerzy. Służył w nim mój Mał. Mieszkał w tych ziemiankach, brał udział w przegrupowaniu — spod Chełma pod Myślibórz i dalej, potem walczył w bitwach. Organizował ten Zlot i powinien dziś tu być. Ale stało się, że nagle odszedł, na zawsze. Wierzę, że ma być gdzieś, ale nie wiem, gdzie.

Zszozy lublińskiej Janów wygląda tak, jakby ktoś porzucił domy po polach i lasach. Na zakręcie, u wylotu tej wyboistej drogi, która prowadzi do cmentel, szerokiej ściany lasu, osobliwa budowla.

Przystają, patrzą. Stary kościół ewangelicki wytrzymał do dziś. Od dziesięciu lat nikt w nim nie modlił.

— Tu chyba było kino — mówi ktoś, a ktoś inny protestuje.

— Nie kino, tylko kwatermistrzostwo i magazyny.

Domy kryją się za drzewami. Pachnie dzika róża. Gdzieś, tu musiała być kwatera dowódcy, pułkownika Andrzeja Izmailowa. Przyszedł z Armii Czerwonej. Pozostała po nim legenda.

Jeszcze kilka kroków i powinien tu stać dąb. Był to znak rozpoznawczy. Jest! Nawet mało się zmienił! Tak samo jak wtedy jest stary, gruby i rozłożysty.

Za dębem plot, za plotem podwórko i zabudowania w stanie wolającym o remont. Na szczebanie psa wychodzi gospodarz.

Nazywa się Zdzisław Mazurek. Mieszka tu od 1945 roku. Przyjechał z ojcem, jak mówi — ze Wschodu, jako mały chłopak. Tak, wie, że tutaj stacjonowało wojsko. Ale kiedy z ojcem przyjechał, wojska już nie było.

Pamięta jak biegł z rówieśnikami do lasu i oglądał ziemianki. Były to całe mieszkanki w ziemi, wyłożone elegancją drewnem. Poczta, kuchnia, piekarnia. Doły w lesie są do dzisiaj, możemy tam pójść i zobaczyć.

Kilka rak gładi chropawy pień dębu. Milczenie przerywa głos gospodarza:

— Myślę, żeby wziąć piłę i ten dąb ściąć. Na co mi kogoś dom taki próchny? Jeszcze kiedyś upadnie i zabije kogo, albo kury podusi.

I dźmiemy dalej. Słońce pali, nie wiadno jeszcze zbliżającej się jesieni. Franciszek Wołoszczuk, który mieszka teraz w Chwałiszewie, w województwie lubelskim, przypomina sobie jak pewnego razu wybrał się z dowódcą plutonu trochę dalej, poza Janów.

— Chcieliśmy namówić chłopów, aby pomogli nosić belki. Tu gdzie stacjonowaliśmy, wycieliliśmy wszystko, co było można. Zapłatą za pomoc były „rozpisiki” na żywność, naftę, spirytus, lekarstwa.

Wtedy właśnie, we wsi, która jeśli Wołoszczuk dobrze pamięta, nazywała się Pniaki, napadli na nich jacyś z bronią, ludzie alewici — partyzantka. Życie darowali, ale... rozegrali z mundu-

rów i żołnierze wrócili do swoich bosów, tylko w kałesonach. Koledzy śmiali się z nich.

— Nowe umundurowanie załatwił nam kwatermistrz Skarbek, dlatego chyba go zapamiętałem.

Z boku wyrasta nagle stara studnia. Cembrowiny jeszcze silne. Na zardzewiałym łancuchu wiadro. Jest i woda na dnie. Wołoszczuk rozgnęta leż pod powieką. Staje na baczność, robiąc ramieniem ruch, jakby podrzynywał karabin.

— Tutaj stałem na warcie. Było to na początku, wszystko jeszcze nieorganizowane, nie było gdzie się myć. Stałem, a wsiły ze mnie kapali.

Chłop orze ziemię. Koń ciągnie plug z wysiłkiem. Ziemia jest twarda, wyschnięta, od dawna bez deszczu. Franciszek Ożóg, rocznik 1914, chce zapytać tego człowieka, czy wie, kim przed 43 laty mieszkał w pomalowanym na brązowym małym domku — opodal. Bo coś mu się zdaje, że w tym domku był.

— Panie, a słyszał pan może o kobiecie, którą omyłkowo postrzelili polski żołnierz? — pyta Wołoszczuk.

Tak, chłop przy plugu mówi, że słyszał, ale nie bliżej nie wie. Nie wie także, kto zamieszkiwał kiedyś domek wskazany przez Ożoga.

Wołoszczuk się denerwuje. Myślę, czy nie o przypadkiem był tym żołnierzem nieostrożnym, któremu podczas regularnego czyszczenia broni wystąpił nagle karabin?

Brązowy domek odcina się wyraźnie na tle zieleni. Podwórko zarosnięte trawą i zieleśnią, widnia mało uczeszanemu. Ani śladu konia, krowy, psa. Nawet kur nie ma. Gospodarstwo ubożuchne.

Na laweczkę przed domem kobieta zbiera grzyby. Nogi owinięte ciepłymi szmatami. Rece — zniekształcone przez reumatyzm, obok łaski. Kobieta porusza się z trudem. W wychudzonej twarzy płoną duże, czarne oczy.

— Tam na zakręcie, to była k i r c h a — rozstrzyga spór — potem wojsko miało magazyny. A teraz jest szkoła. Kto mieszkał tu przede mną, pytacie? A ktośby, jak nie Piskor Józef?

O kobiecie postrzelonej niechętno w nogę, owszem, słyszała, ale nazwiska nie zna. Tu niedaleko żyła taka jedna, nazywała się Dziekowska, rok temu zmarła. Może to ona była tą kobietą?

Ożóg zagląda do sieni, podchodzi do komórek. Lawka też ta sama, co wtedy. Przychodził tu, to pewnie. W tym domku mieszkała dziewczyna z czarnym warkoczem. Zbierała się młodzi, śpiewali, flirtowali, czasem coś wypili. Jednego razu na zagrychę był świeży salceson, jeszcze ciepły, z chlebem.

— Może to byłam ja? — uśmiecha się żalotnie kobieta, a spod chustki wymyka się jej czarny kosmyk włosów — Może to do mnie pan w romanse chodził...?

Przyspieszamy kroku. Coraz rzadziej domy, coraz bliżej zwarty, gęsty las, „Ich” las.

Idę przez chwilę z Józefem Gancarzem. Był szeregowcem w I baterii. Teraz mieszka w Zaganiu, w województwie zielonogórskim. Wymienia nazwiska: Podedworny, Derkacz, Krzyżanowski, Różycki, Bieliński. Co się z nimi stało? Wspomina defiladę w Mielniku, już po wojnie, 12 maja 1945 roku. Szedł w trzeciej zwrocie. Cóż to była za defilada? Cóż to była za radość!

Wchodzimy w leśny gąszcz. Wołoszczuk, Koropczuk, Ożóg, Gancarz i inni niecierpliwie rozzagarniają gałęzie. Serce mi wali prawdopodobnie tak samo, jak im. To tu są te miejsca. Ten las, który śnił się im przez te wszystkie lata.

Ślady po ziemiankach są jeszcze głębokie. Ciągają się bardzo daleko, nie sposób obejść całość. Mieszkało tu jedenaście tysięcy żołnierzy!

Kiedy wojsko I Korpusu opuściło lasy, ludzie z okolicy przychodzili tu i wyciągali belki. Użyli je do budowy domów, szop, ogrodzeń. Na co komu żoł-

Ciąg dalszy na str. 6

NA GOŚCIŃCACH HISTORII

Wiesław Nodzyński



Fot. Czesław Luniewicz

wracać do Polski. Tu przydały się jego górnicze kwalifikacje. Był jednym z organizatorów żarskiego zagłębia węglowego. Stąd też Kunice Żarskie to dla Piotra rodzinna miejscowość, tam do dziś mieszka jego matka. I stąd, z Kunicy, wiodła jego droga w dorosłe już życie. W Zielonej Górze ukończył Liceum Pedagogiczne, był jednym z najlepszych uczniów. Znal język niemiecki, z wyboru studiów nie było więc kłopotów; oczywiście filologia germańska w Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, u nieodżałowanej pamięci prof. Jana Chodery. Ale nie było to tylko studia lingwistyczne. Piotr łączył je ze swymi wcześniej ukształtowanymi zainteresowaniami historią regionu, szczególnie Żar i Zagania, a zwłaszcza sławną rodziną Talleyrandów, czemu niejednokrotnie dawał i daje wyraz w swoich publikacjach, także na łamach „Nadodrza”. Pisze na ten temat wiele w różnych pismach, w radio, uczestniczy w sympozjach naukowych, w które wnoszą swój twórczy wkład. Ale nad zwyczaj oryginalną specjalnością J. A. Majchrzaka już od wielu lat jest sposób, w jaki o swoich zainteresowaniach umie mówić, zniewalając słuchaczy i zmuszając ich do refleksji, bez względu na to, czy jest to młodzież szkolna, czy dostojne grono specjalistów.

Pamiętam, jak na jednej z zorganizowanych przez Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy sesji Polskiego Klubu Publicystów Międzynarodowych w Zaganiu z udziałem wybitnych publicystów tej miary co Marian Podkowinski, Zygmunt Broniarek, zaskoczył audytorium błyskotliwą i kompetentną, wygłoszoną ex promtu opowieścią o żagańskich dziejach wybitnego niemieckiego astronoma, gorącego propagatora odkryć Mikołaja Kopernika, który je poszerzył i uzupełnił — Johannesem Keplera. Był tego spotkania wydarzeniem. A takich spotkań, które wzbogacił swą wiedzą i osobowością, mogłoby przytoczyć więcej.

Po ukończeniu studiów, które „mimo-łybyśkawnie”, rozpoczął pracę w szkolnictwie. Uczył w Żarach i Lubsku

ca doktorska, którą pisał pod kierunkiem swojego mistrza, dyr. Instytutu Filologii Germańskiej Uniwersytetu Poznańskiego, prof. Jana Chodery. Temat dotyczył twórczości i osoby niemieckiego pisarza historycznego Erwina Guida Kolbenheyera i byłby ją szczęśliwie ukończył, gdyby nie przedwczesna śmierć promotora. W naszych warunkach oznaczało to konieczność rozpoczęcia wszystkiego od początku.

I tu zrodziła się szansa. W zielonogórskiej WSP w latach siedemdziesiątych, którą kierował prof. dr Jan Wasicki, przystąpiono do organizacji Zakładu Filologii Germańskiej. Wśród jego pierwszych i najlepszych jeszcze pracowników znalazł się J. P. Majchrzak. To właśnie za sprawą rektora Wasickiego, któremu zielonogórskie środowisko naukowe wiele zawdzięcza, Majchrzak mógł wystąpić z obroną swej pracy doktorskiej w WSP w Poczdamie, z którą zielonogórską WSP nawiązała bliską współpracę. Jego nowym promotorem został prof. Rudolf Dau. W maju 1977 r. J. P. Majchrzak uzyskał stopień doktora i był to pierwszy przypadek uzyskania tego tytułu w poczdamskiej uczelni przez pracownika naukowego z Polski. Dr Majchrzak przyczynił się w ten sposób, w tym pierwszym okresie, do stabilizacji Zakładu Filologii Germańskiej WSP w Zielonej Górze. Z zakładem tym, dziś już Katedra, a w niebzt odległej już zapewne przyszłości, — ze względu na rozwój własnej kadry — Instytutem, dr Majchrzak, mimo że od 1983 r. kieruje zielonogórskim Archiwum Państwowym, związany jest nadal.

W dziesięć lat po uzyskaniu doktora tu, już będąc dyrektorem Archiwum, które stanowi znakomite zaplecze dla jego prac badawczych, z inspiracji i przy pomocy profesorów Rudolfa Dau i Hieronima Szczegóły przystąpił do obrony pracy habilitacyjnej, tym razem w WSP w Dreźnie i obronił ją. Temat pracy brzmiał: „Polska i Polacy w prasie niemieckiej XVIII i XIX wieku”. To było już sedno jego naukowych zainteresowań i dociekań. Dr Majchrzak

Lewinsona „Tygodnik Zielonogórski”. Czasopismo to zostało określone w wydanej w 1901 r. „Historii prasy niemieckiej” Ludwika Salomona jako najbardziej radykalne, liberalno-demokratyczne w całych Niemczech, zaś dr Lewinson dał się poznać jako człowiek niezwykle Polakom życzliwy, zainteresowany polską kulturą i literaturą. Tej postaci i związanej z nią gazecie dr Majchrzak chce poświęcić osobne opracowanie. Na razie jednak zniewolony swoją „pierwszą miłością” — historią Zagania i splecionymi z nią dziejami Talleyrandów — marzy o dotarciu do bezcennego zbioru manuskryptów Doroty Talleyrand, o ile ten zbiór jeszcze istnieje. Do 1944 r. znajdował się on jeszcze w Zaganiu. Swego zainteresowania losami żagańskich dzieł sztuki i archiwaliów niejednokrotnie dowodził i czy ni to aktualnie na łamach naszego pisma.

Łącząc się dorobek, nie tylko w tej dziedzinie, stanowi również to, co zawarł lub zamierza zawrzeć w publikacjach książkowych. Sądząc po jego książce pt. „Na peryferiach historii”, zbiorze tematycznie zróżnicowanych esejów historycznych, uprawia komentarz do wielkich wydarzeń w bliskiej nam historii. W związku z tym wyjaśnia, iż istnieje potrzeba takiego komentarza, ponieważ w historii naszego regionu tak bardzo skomplikowanej i dramatycznej, a zwłaszcza związanej z nią niemieckiej historiografią, istnieje wiele luk i przekłamań. Przykładem niech będzie odnaleziona przez zielonogórskich archiwistów „Kronika Zielonogórską”, mówiąca o historii Wojny Siedmioletniej. Nie ma w niej ani słowa o szczegółach głośnej przecież w historii bitwy pod Kunowicami w 1759 r., w której sprzymierzone wojska rosyjskie i austriackie zadaly największą w tej wojnie klęskę Prusom Fryderyka II. Podobnie autor znanej przedwojennej monografii Zielonej Góry Hugo Schmidt przemilcza w niej fakt istnienia polskojęzycznego dokumentu z 1641 r. podpisanego przez Władysława IV, nadającego kupcom zielonogórskim prawo swobodnego handlu w krajach koronnych — umieszczając skromną wzmiankę na ten temat tylko w przypisach. Były to świadome przemilczenia i było ich wiele. Trzeba to wyjaśnić, prostować.

A jak o tym pisać? J. P. Majchrzak nie ukrywa, że pod tym względem wzorem dla niego jest Paweł Jasienica. Stąd też jego skłonność do popularyzowania historii w sposób fabularyzowany, ale bez dialogów. Bardzo ceni sobie w tak rozumianej twórczości anegdotę, wszakże nie rozmiągając się z faktem. I zapewne taki sposób widzenia historii, pomijając już jego lekkie pióro, zjednuje mu wielu czytelników.

Po wydaniu książki pt. „Na peryferiach historii”, która spotkała się z dużym zainteresowaniem — przygotowanie następnej „Dorota Talleyrand i jej czasy”. W taki sposób jawi się nie tylko jako wytrawny historyk, ale także jako doskonały archiwista, działający z całą świadomością na rzecz naukowego potwierdzenia polskiej obecności w historii naszego regionu.

Z kierowaniem przez siebie Archiwum uczynił nie tylko zbiornicę dokumentów, ale również placówkę naukowo-badawczą z prawdziwego zdarzenia, z której sam korzysta i szczerze pozwala korzystać innym, a także rozwijać się zatrudnionej tu młodej kadry. Spotkał się z cychającą tu naftą zmorą remontów i innych problemów, które niejednemu kazalyby na to wszystko machnąć ręką. Remonty w Starym Kisielinie i podwłobudzimskim Wilkowie nacale szczęście już się kończą. Nie jest tylko w stanie osobiście pokonać oporów związanych z powiększeniem własnego mieszkania w Zielonej Górze, w którym rozmawiamy. Trudno tu już przecisnąć się między sterami książek. Jest to smutny przyczynek do kwestii egalitaryzmu w dziedzinie „mieszkalnictwa”. Doc. dr hab. J. P. Majchrzak jest jednym z siedmiu docentów w służbie archiwalnej w Polsce, co także podnosi rangę kierowanej przez niego placówki. Przyznając Jerzemu Piotrowi Majchrzakowi naszą nagrodę, chcemy to również podkreślić.

WIESŁAW NODZYŃSKI

IN VINO VERITAS

Ciąg dalszy ze str. 1

i zdrowe. Jest wesoło, o to przecież chodzi.

Scena wyobraża wnętrze chaty. Bieleńskie ściany, łóżko z pościelą, malowana kołyska, piec z malowanym kominem, ława, troje drzwi, kredens, półki z malowanymi talerzami, u sufitu czarnaścienie świętych obrazów, sztuczne kwiaty. Kolory, kolory, kolory! Masa szczegółów!

Jest to niedobre tło dla popisów tanecznych, w wykonaniu zespołów ubranych w wielobarwne stroje. Widz dostaje odczucia. Szkoda, że scenograf Jerzy Gorazdowski nie miał w tym roku lepszego pomysłu. Już raz mieliśmy na scenie podobną chatę. Można przypuszczać, że te same elementy scenograficzne zostały wykorzystane raz jeszcze, z powodu oszczędności.

O zespołach, które przyjechały do Zielonej Góry na festiwal można by napisać wiele, o każdym oddzielnie. Tak kiedyś się robiło. Oceny dokonywała i spisywała je komisja artystyczna, złożona z etnografów i muzykologów, pod przewodnictwem nieodżałowanego profesora Józefa Burszty. Dziś nie ma komisji, nie ma ocen. Nie ma żadnych uwag, ani wymiany poglądów artystycznych. Nie ma informacji o sytuacji folkloru na świecie. Nie ma, do, poza występami. Jest więc ten festiwal wyłącznie wielkim, kilkudniowym koncertem — niczym więcej w sensie artystycznym, oraz spotkaniem ludzi z różnych krajów.

— I oto właśnie chodzi — powie mi potem dyrektor festiwalu Zdzisław Gruberski, a skoro mówi, to zapewne wie lepiej niż ja, bo piastując swą funkcję od lat, jest bliżej CIOFF-u. CIOFF — to skrót międzynarodowej federacji festiwali, do której i nasz festiwal należy. Przyjaźń, poznanie się, nawiązywanie kontaktów, pokazanie się publiczności — taka jest idea i takie cele zielonogórskiego festiwalu. O nic innego, jak mówi dyrektor, patronom z CIOFF-u nie chodzi.

Mimo to marzy mi się, by dodać kilka kropel czegoś innego. Może sesję ludzi piszących o folklorze i zajmujących się jego przeobrażeniami, transformacjami, stylizacjami itp....

Józef Broda, nauczyciel w przebraniu ludowego muzykanta i gawędziarza, czy ba jest w nie najlepszej formie. A może mi się już trochę opatrzył i osłuchał? W przeciwnym razie nie miałabym mu za złe, że myli się w trudnych nazwach tureckich instrumentów. Te same ruchy, te same gadki, te same zagrania co przed dwoma i czterema laty.

W międzynarodowym koncercie galowym mały festiwal piosenek polskich, wykonanych przez gości po polsku. Wiośni śpiewają „Zasłali górale owies”, Hiszpanie „Jadą goście, jadą” z kastanietami, Niemcy z NRD „Poszła Karolinka do Gogolina”, Niemcy z RFN i Bułgarzy „Kukuleczka kuka”, Czesi „Idzie dysc, idzie dysc, idzie sikawica”, Francuzi „Ło wiczanka jestem”, Jugosłowianie z Kraj lewa „Hej tam w dolinie”, Kazachowie z ZSRR „Szia dziewczeczka do laseczka”, Wietnamczycy „Hej żeglujże żeglarzu całą noc po morzu”, Finowie „Czemuś mnie matulenko za mąż wydała”, Turcy „Przyleciał ptaszek z Łobzowa”. Czy to nie śliczne?

Spśród zespołów najbardziej podobają mi się artyści hiszpańscy (co za żywioł!), studenci Politechniki Rzeszowskiej z „Poloninami” i roztańczona wioska dzieciarnia.

Niedziela 18 września, godzina 10.00. Siadam na parapecie. Z mojego okna przy ulicy Bohaterów Westerplatte mam lepszy widok, niż z trybuny. Widzę stąd korowód taki, jaki naprawdę jest. Rozpoczynają go zielone winorośle. Wąż złożony z dziewczyn w zielonych sukniach wieje się od krawężnika, do krawężnika. Za nim w milczeniu kroczy zespół, jak widać po strojach, z Polski.

Dźwięki skocznej muzyki. Gra włoska kapela „płynąca” w gondoli. Tańczy wiośki zespół dziecięcy. Następnie wśród oklasków zjawiają się Bułgarzy. Ich kapela, podobnie jak włoska, też jedzie na wózku, w którym centralne miejsce zajmują olbrzymi kosz róż.

Przechodzi Francja z wieżą Eiffla i NRD z beczką Radebergera, wesoło i gwarnie. Ukazuje się witana dużymi braćmi Hiszpanka w sukni w ciemne grochy, w towarzystwie jeszcze dwóch osób. Dochodzi do wysokości „Topazu” i zatrzymuje się. W tym czasie reszta zespołu hiszpańskiego tańczy koło pocztu. Kończy się taniec, Hiszpanie stoją. Trochę im zimno, więc podrygują. Cisza, nic się nie dzieje.

HALINA ANSKA

Mija dziesięć, potem dwadzieścia minut. Środkiem ulicy biegnie reżyser. Znowu dziesięć minut przerwy. Ludzie rozchodzą się. Na ulicy robi się „prywatnie”.

Ale oto zjawiają się heroldowie, za nimi herb Zielonej Góry, Hiszpanie robią miejsce zespołowi werbli. Przechodzą werble szybkim krokiem, za nimi tłum winorośli i kapela ze Zbąszczyka. Przesuwa się w szybkim tempie wóznikarski, kapela podworkowa „Mały Kazio” z Siedlec oraz bogowie Hermes i Helios — obaj z przydługimi sentencjami.

Prawie biegiem przedziaga biały tłum niosący węża nad głowami. Notuje fraszkę-straszkę: „Nie pomogą żadne doktory, felczery, nasze służby zdrowia czas wystawie L-4”.

Łodzią argonautów płynię PTTK, potem jakiś domek czy altanka (jak się później dowiem, miał to być Barbakan) Jedzie Królestwo Hadesa, potem nieszczyśny Prometeusz w okowach, a za nim goni kilka trudnych do zidentyfikowania figur. Za figurami i maskami gromadka dzieci przebranych za grybki i biedronki, oraz druga — w płaszczykach. Idą też jakieś pańce, całkiem „wywrotne”. Czyżby był to już koniec korowodu? Co wobec tego robi tutaj, wciąż stojąca w tym samym miejscu Hiszpania?

Ludzie już prawie całkiem się rozeszli. Punkt obserwacyjny na schodach przy „Topazie” opuszczają b. prezydent Ostrega ze swym b. zastępcą Szczygiem. Jest pusto i cicho.

Tymczasem w korowodzie nagle coś drgnęło! Dwa członki Hiszpanii zbliżają się, łączą i idą w kierunku skrzyżowania. Hiszpanie są niezmordowani. Chce im się jeszcze zatańczyć przed kawiarnią „Mokka”. Fruwają kolorowe falbany.

Idzie Jugosławia ze śpiewem i tańcami. Zespół RFN, za nimi czeszy górale — oraz ogromnie sympatyczny, wesoły i na luzie zespół z Kazachstanu. Na koniec jeszcze Turcy, po których można się było spodziewać więcej cudu, ale może zmarli — bo trochę w międzyczasie powiało i popadało?.. Teraz lko jeszcze zielone dziewczyny uosabiające winorośle i już, jak gdyby wkomponowany w całość, niebieski, milicyjny fiat. Koniec korowodu.

„Z czego się uśmieł kon trojański?” — pytałam na łamach „Nadodrze” przed dziesięć laty. „Dla kogo ten korowód?” — zastanawiałam się w ubiegłym roku. Teraz, gdy wypowiadałam się na ten temat po raz bodaj dwunasty, jawi mi się nowy znak zapytania: po kiego diabła to całe dziennikarskie pisanie, skoro nic z niego nie wynika?

Próbowałam kiedyś coś udowodnić, wytknąć, podpowiedzieć. Wskazywałam na bezsens grybów i elfów, na sztuczność korowodu i brak w nim myśli. Dziś mogę jedynie stwierdzić, że kolejny raz społeczeństwo Zielonej Góry otrzymało widowisko wątpliwych wartości ideowych i artystycznych, w dodatku przedstawione niestannie. Kto zawinił?

Przeglądam scenariusz korowodu tegoż roku. Nie będę wypowiadać się, czy mi się podoba, czy nie. Stwierdzam, że odbiega o to, co dane mi było widzieć z mojego okna. Święto Winobrania pozostało jedynie legendą, którą aby podtrzymać, miasto robi, co może. Ale może, jak widać, niewiele.

— Dni Zielonej Góry z wieńczącą je Winobraniową Niedzielą są okresem zbierania całorocznych plonów w naszej kulturze — powiedziała pani prezydent Antonina Grzegorzewska podczas wręczenia nagród w ratuszu. Korowód winobraniowy był bardzo chudym kłosem w tym dożynkowym wieńcu.

Symboliczna jest tu postać Prometeusza, który chce w dalszym ciągu robić coś dobrego, ale nie może, bo tak, jak organizatorzy i twórcy korowodu, pozostaje w okowach. Te okowy, to chroniczny brak ciekawych pomysłów, zamykanie się przed krytyką, ostatnio także brak pieniędzy. Te okowy wydadają się nie do skruszenia. Skoro tak, to pytam już nie tylko „dla kogo ten korowód?”, ale — po co ten korowód? Jeśli to widowisko uliczne ma być takie kulawe, jakie było w tym roku, to lepiej niech nie będzie go wcale.

Po korowodzie niedziela minęła sympatycznie. Stosy arbusów. Mnóstwo winogron. Dużo wina. Mało pijanych! Prawie mówiąc, widziałam tylko trzech. Nikt nie narzywał w mojej klatce schodowej, jak to nie raz bywało. Nocą nikt nie wrzeszczał. I dlatego tegoroczne Winobranie mimo wszystko uważam za przyjemny oddech w życiu codziennym naszego miasta.

W zbiorach Archiwum Książat Zagąńskich zachowały się liczne inwentarze wyposażenia zagąńskiego pałacu. Pierwszy kompletny katalog zgromadzonych w rezydencji przedmiotów ruchoomych sporządzony został tuż po śmierci Piotra Birona w roku 1809. Pięć lat później opublikowano drukiem katalog zbiorów numizmatycznych. Wystawiony w roku 1806 na aukcji w Berlinie zbiór monet i medali Birona został rozparcelowany i sprzedany.

Zagąńska galeria malarstwa i rzeźby udostępniono po raz pierwszy dla publiczności w roku 1855. Z tej okazji wydano też katalog zbiorów. Z 467 pozycji wyszczególnionych w tej publikacji 217 znalazło się w spisie sporządzonym przez dra Plambecka w roku

Na tropie zagąńskich dzieł sztuki

...pozostały tylko katalogi i inwentarze!

Jerzy Piotr Majchrzak

1944. Kilkadziesiąt obrazów jeszcze za życia księżnej Wilhelminy, sukcesorki Birona w Zaganiu, zostało w latach dwudziestych 19 wieku przewiezionych do Nachodu, Pragi i Wiednia. Księżna, która wiecznie potrzebowała pieniędzy, sprzedawała również bogatą kolekcję ojcowskich miedziorytów. Podobny los spotkał także zbiór historycznej broni białej i palnej. Znacznego spustoszenia wśród zgromadzonych w pałacu zbiorów sztuki poczyniła francuska okupacja Zagania w latach 1807-1813.

Kiedy w roku 1845 właścicielką lenna zagąńskiego została najmłodsza córka Birona — Dorota, żona Talleyranda, pałac był praktycznie pusty. W swoim dzienniku zanotowała po przybyciu do Zagania: „...wraz z moim radcą prawnym, panem von Wolffem, udałam się do pałacu. Ogolono gabi-nety, pozabawiono książek półki biblioteczne, puste miejsca po obrazach w galerii, zaniedbany park...”. Podjęte przez nią starania o powrót zabytkowych przedmiotów i dzieł sztuki będących niegdyś na wyposażeniu pałacu zostały uwieńczone sukcesem. Z Nachodu wróciła część obrazów i książek; od drezdeńskiego kolekcjonera, barona von Kuhlberga, odkupiła kolekcję miedziorytów; powróciły także do Zagania serwisy srebr i porcelany, wywiezione przed laty przez księżną kurlandzką Dorotę Biron do Loebichau w Saksonii.

W roku 1855 zagąńska galeria, wśród nieprofesjonalnych instytucji wystawienniczych tego typu, uchodziła za jedną z najbardziej znamiennych. Jej zdobądy były płótna Caravaggia, Carracci'ego, Canaletta, Tycjana, Velazqueza. Szczyciła się posiadaniem największego zbioru portretów Antoniego Grafa, Józefa Grassi'ego i Angeliki Kaufmann. Dorota Talleyrand wzbogaciła galerię o płótna Davida, Gerarda, Krügera, H. Kerta. Nie brakowało także znakomitych rzeźb dłuta Thorwaldsena, Raucha, Canovy, Schadowa i wielu innych. Dzięki osobistym kontaktom księżnej zagąńskiej ze znakomitymi artystami kolekcja dzieł sztuki była sukcesywnie powiększana. Za pośrednictwem Aleksandra von Humboldta odzyskano płyty drukarskie słynnych keplerowskich tablic astronomicznych — efemeryd, drukowanych po raz pierwszy w Zaganiu w roku 1634 przez syna astronoma, Ludwika Keplera.

Poważna wysprzedaż wyposażenia pałacu, w tym także dzieł sztuki, miała miejsce po śmierci Ludwika Napoleona Talleyranda, syna Doroty, w roku 1882. Nie zachowały się spisy akcyjne, które mogłyby wskazać na rodzaj i wartość sprzedanych wówczas przedmiotów. Kolejni właściciele lenna — Heli Talleyrand Perigord, a po nim jego syn Howard, nie interesowali się spadkiem. Po zakończonej klęsce Niemiec wojnie światowej francuscy książęta nie cieszyli się tutaj popularnością. Z ofertą kupna lenna zagąńskiego wystąpił w roku 1924 książę Eugeniusz Wirttemberski. Transakcja jednakże nie doszła do skutku.

Sensacją, która wypełniała przez pewien czas szpalty niemal wszystkich europejskich gazet, była samobójcza śmierć Howarda Talleyranda, czwartego księcia Zagania linii talleyrandzkiej, praprawnuka Doroty. Przyczyną było zdecydowane „nie!” rodziny księcia w kwestii jego małżeństwa z Anną Gould, córką amerykańskiego potentata przemysłowego, Howarda i Anna w roku 1929 popełnił w Paryżu samobójstwo. „Tygodnik zielonogórski” opublikował obszerny nekrolog pod tytułem „Tragedia księcia Zagania”. Na Howardzie wygasła też bezpośrednia linia książąt zagąńskich z domu Biron-Talleyrand. Lenno w drodze spadkowej przeszło na boczną linię Talleyrandów. Właścicielem został znany nam

ku a połową lutego 1945 roku, kiedy to Zaganie zajęte zostało przez wojska radzieckie. Nie zachowały się jakiegokolwiek przekazy co do dalszych dzieł przetransportowanych do Kliczkowa skrzyni. A jednak w zbiorach francuskich muzeów po wojnie pojawiły się dzieła sztuki z zagąńskich zbiorów, figurujących w spisach dra Plambecka z 1944 roku. Zdecydowana część tych dzieł znajduje się na zamku Valencay, będącym własnością Talleyrandów. Kiedy one tam dotarły? Logika wydarzeń wskazuje, że dopiero po zakończeniu działań wojennych. Czy zostały zabrane bezpośrednio z Zagania i Kliczkowa? Wiedzieć gminna głosi, że pojazdy wojskowe żołnierzyków na ulicach Zagania wiosną 1945 roku nie były rzadkością, że na pałacu przez dłuższy czas powiewała trójkolorowa flaga francuska, że kręcili się różni ludzie z dyplomatycznymi i niedyplomatycznymi paszportami. Ale dokumentów na potwierdzenie tych „faktów” nie ma. Ostatni książę Zagania zmarł w roku 1952. Prawdopodobnie tylko on znał tajemnicę odzyskania zgromadzonych w Zaganiu dzieł sztuki i zabrał ją ze sobą do grobu.

Zagane od 1945 r. znów jest polski. Talleyrandzkie tradycje żyją już tylko w przekazach archiwalnych i od czasu do czasu, w rodzajej się w sezonie „ogórkowym” plotce o „ukrytych” w podziemiach pałacu skarbach. A tak całkiem już relaksowo jeszcze jedna ciekawostka: w oficjalnej tytulaturze Talleyrandów nadal używają zwrotu „duc de Sagan”. A może by tak wzorem Zagłoby zaofiarować im „Niderlandy”?

już Paul Louis Boson II Talleyrand-Perigord.

Wokół powojennych losów zagąńskich dzieł sztuki i zbiorów archiwalnych narosło wiele sprzecznych ze sobą wersji, poglądów, a nawet nieprawdopodobnych opowieści graniczących z czystą fantazją. Faktem jest, że w całej tej historii jest poważna pustka informacyjna między 27 grudnia 1944 ro-



Christian Daniel Rauch (1777-1857) — rzeźba „Victoria”

RADIO MÓWI

Od dłuższego czasu, konkretnie od wprowadzenia stanu wojennego, obserwujemy upadek Teatru Polskiego Radia. Brakuje po prostu dobrych, oryginalnych słuchowisk, które temu Teatrowi przez wiele lat nadawały rangę artystyczną.

Dla poprawienia tego stanu ogłaszane są przez Polskie Radio konkursy na słuchowiska. Plon tych konkursów, niestety, wciąż jest mizerny jakościowo. Wyobraźmy sobie, z jakim zakłopotaniem redakcja literacka Polskiego Radia decyduje się na emisję nagrodzonych utworów.

W podobnym zakłopotaniu znaleźli się jurorzy: Barbara Fijałkowska, dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Zielonej Górze, Witold Bilip — redaktor literacki IV Programu Polskiego Radia, Krzysztof Rotnicki, dyrektor Teatru im. Leona Kruczkowskiego, Konrad Stangiewicz, redaktor Rozgłosni Radiowej w Zielonej Górze i piszący te słowa — przewodniczą

cy jury, kiedy zasiadli do rozstrzygnięcia konkursu na słuchowisko, ogłoszonego przez Wyd. Kultury Urzędu Woj. i Zielonogórskie Radio.

Oczekiwano, że napłyną interesujące teksty, którymi będzie można wypełnić istniejącą od paru lat kompletną próżnię Teatru Wyobraźni w Zielonej Górze.

Tymczasem napłynęło zaledwie osiem prac, których walorami artystycznymi trudno się zachwycić. Wyczuwało się, że autorzy po prostu pisali na kolanie. Może uznali, że dla prowincjonalnej rozgłosni nie warto się wysilać. Przepszłam zielonogórskie Radio za słowo „prowincjonalne”. Wiele audycji tu powstałych znalazło się przecież w programach ogólnopolskich.

Jury nie przyznało nagród, tylko dwa wyróżnienia za utwory „Prawdziwie wiosenny dzień” Janusza Koniusza i „Demoniczny śmiech Stefani” Piotra Piotrowskiego.

Akcja słuchowiska Janusza Koniusza dzieje się w „domu zbawowca”, w którym przebywają jak się łatwo domyślić ludzie w starszym wieku, zasużeni dla naszego kraju. Dialogi przez nich prowadzone z jednej strony stanowią autocharakterystykę postaci, z drugiej odsłaniają moralny problem sto-

sunku między starym a młodym pokoleniem.

Stare jeszcze chce wciąż budować, a młode nastawione jest raczej na wartości konsumpcyjne.

Gorzkie to słuchowisko w swojej wymowie.

Drugi autor, wyróżniony w omawianym konkursie, Piotr Piotrowski napisał dreszczowiec w poetyce groteskowej. Zaletą utworu jest to, że od początku do końca trzyma słuchacza w napięciu. Akcja słuchowiska toczy się w zamkniętym na klucz mieszkaniu w budynku przeznaczonym do wyburzenia. Problemem utworu jest dopótylżnizczyjący wóle i charakter drugiego człowieka, choćby był on najbliższą osobą. Słuchowisko to nadawałoby się do cyklicznego Teatru „Zielone oko”, który nadaje program III PR.

Oba słuchowiska zostaną zrealizowane przez Rozgłosni zielonogórską.

Gratuluję wyróżnionym, a pozostałym uczestnikom w przyszłym konkursie życzyć więcej szczęścia. Pragnę także by pamiętali, że radio nie tylko gra, jak nazywa się jedna z rubryk „Życia Literackiego”, ale także mówi.

MICHAŁ KAZIOW

Gdy Hrabina czuje się kłopotliwa, zaciska pięści i zgrzyta zębami. Wszystko widzi ostrzej i lepiej słyszy, a jej ruchy stają się zwinne i koci. Serce to zalomocze, to jakby przestaje bić, oddech staje się krótki. Pomóc jej może tylko jedno: porządny łyk krwi...

Hrabina nie musi śnadać w nocy na ludzi i gryźć ich. Nektar, który postawił ją na nogi, wyjmując z lodówki. Pochodzi on od dobrowolnych dawców, których jak mówi, nie brakuje.

Hrabina — Countess Mistry, nazywana jest młodą kobietą, mieszkająca w małej miejscowości w pobliżu Oakland w Kalifornii. Ma trzydzieści lat, jest niezbyt wysoka i niezbyt urodziwa. Jej twarz przypomina powierzchnię Księżyca: jest cała w kraterach.

Kiedy wycina się z uśmiechem, że jest uzależniona od krwi, w ustach błyskawicznie jej spływają ostro zęby. Niezbędna do życia jest jej krew ludzka. Próbowano odżywiać się krwią zwierząt, próbowała też jadać konserwy z krwią. Czuli się po nich bardzo źle. Swój „dawcom” rewanżuje się pieniędzmi lub przysługami w rodzaju... masażu pleców.

Utworzyła grupę „Lost Shadows”, w której zebrano się siedmiu samotnych wampirów. Dwóch z tej grupy poluje na ofiary, stąd są niekiedy kłopoty.

Zgadza się na wywiad.
— Od kiedy piesz krew?
— Rodzice mówili mi, że mając dwa lata gryzłam się w palec i wysysałam własną krew. A w szkole namawiałam dzieci, by pozwalały się gryźć.
— I dzieci zgadzały się?
— Wyobraź sobie, że tak. Czasem są me kalczyły się i dawały mi poliznąć.
— Uchodzą ci to bezkarnie?
— Skądże. Byłam nawet przywiązana do łóżka.
— Od jak dawna wiesz, że jesteś wampirem?
— Od kiedy zaczęłam rozumieć to i owo. Ale gdy obejrzałam kilka filmów o wampirach, zważyłam, że sama do nich należę. Nie przypominam Draculi. Nigdy nikogo nie zmusiałam, by oddał mi krew.

— Więc wszyscy chcą cię częstować, gdy tego zapragniesz?
— Właśnie tak. Gdy byłam kiedyś w Nowym Jorku, ustawiła się przede mną kolejka chętnych do ugryzienia. Było to nawet zabawne. Ludzie pragną nowych przeżyć.

— Znasz wampiry, które napadają na ludzi?

— Tak, są tacy. Agresywni, niebezpieczni. Przeważnie sataniści. O jednym wiem doskonale, że prawie każdej nocy skradła się i napadała na ludzi. Gdy się wykrawia, pozostaje wypadek lub psychomorderstwo. Już tak się zdarzyło. Wypompuwanej z człowieka krwi może starczyć wampirów na kilka tygodni. Zmieszana z octem jabłkowym lub winem może stać w lodówce dwa miesiące i nie skrzepnie.

— Jaka ilość krwi jest ci potrzebna i na jaki okres?

— Przeciętnie wypijam około pół litra tygodniowo.

— A gdy zapas w lodówce się kończy?

— Wtedy szukam dawców. Gdybym ich nie znalazła, musiałabym udać się do szpitala, tam mają zapasy.

— W jaki sposób spożywasz krew, z kieliszka, szklanki?

— Najbardziej lubię bezpośrednio, to znaczy ugryźć dawcę i ssać. Jest to wspaniałe uczucie. Ale ludzie najczęściej sami pobierają sobie krew strzykawką i przynoszą mi w małych butelkach. Dobrze i to.

— Gdy gryziesz, nie jest to niebezpieczne?

— Nie. Ja nie robię nikomu krzywdy. Kazałam sobie zastrzyczyć zęby i dzięki temu robię małe dziurki w kształcie półksiężyca. Ranki na szyi, ramieniu lub przegubie szybko się goją.

KLUB wampirów

— Czy picie krwi wprowadza cię w szczególny stan, np. jak po zażyciu narkotyku?

— Nie. Czuję się syta i zadowolona.

— Wierysz, że picie krwi czyni człowieka nieśmiertelnym?

— To są bzdury. Ale jestem przekonana, że wraz z krwią ludzi otrzymuję ich siłę i odporność, dzięki czemu czuję się młodo.

— Możesz otrzymać też ich chorobę.

— Moi dawcy są zdrowi.

— Ile ludzi wie o twoim, powiedzmy, nałogu?

— Cała masa. Kiedyś, gdy miałam dość ukrywania się z tym, opowiedziałam o sobie prawdę w pewnym towarzystwie. Teraz większość uważa mnie za obłąkaną i zбочzoną. Ludzie szpiegują mnie i o byle co piszą na mnie skargi. Nieludznie. Nie mają powodów. Jestem po prostu inna, niż oni.

— Masz więc kłopoty.

— I to jakie! Kiedyś kursowało po kraju dwóch speców od czarnej magii. Podobno, chcieli zdobyć oczy wampira. Nie brałam tego poważnie. Aż po kilku dniach znaleziono zwłoki jednego faceta. Znałam go przełotnie i wiedziałam, że jest wampirem. Miał wydłubane oczy...

Wampiry chętnie tworzą kluby, tożsystwa lub koła wzajemnej pomocy. Lewis Harrison, 60-letni rencista z Nowego Jorku zorganizował przed kilku laty biuro matrymonialne dla wampirów: „Vampire Erotic Encounters”. Urządził je we własnym mieszkaniu, na powierzchni 20 metrów kwadratowych. Jego zdaniem żyje bardzo wielu ludzi pijących ludzką krew, ale tylko nieliczni do tego się przyznają.

Dość głośno jest nazwisko dr Stephana Kaplana, lekarza z zawodu, a z zamiłowania wampiroznawcy. To on w 1972 r. założył i ugruntuował „Vampire Research Society” — towarzystwo wampirów. Grono jego pacjentów dotkliwie wtedy zmalało, ale za to dr Kaplan, będąc człowiekiem życzliwym, mógł już całkowicie poświęcić się swojej wielkiej pasji.

W trzynastym roku działalności „Society” — w styczniu 1984, dr Kaplan opublikował wyniki swych badań nad istotą wampiryzmu. Książka wywołała

taki skandal, że jej autor musiał przedko ukryć się w bezpiecznym miejscu. Ale pracował dalej i wkrótce ukazało się jego następne dzieło: „The Vampire Census Book”, będące kompendium wiedzy o wampirach.

Książka Kaplana „Vampires Are” jest rodzajem elementarza dla początkujących Nosferatu. Aby ją spisać, Kaplan przeprowadził wywiady z pięćdziesięcioma wampirami.

Leilah Wendell jest nekrofilką. Na całym wybrzeżu Long Island nie znalazła się kostnica, w której zgodzono by się ją zatrudnić, choć o to wciąż zabiega. Pracowała kiedyś w takim miejscu i specjalnym kluczem otwierała typowe w USA metalowe trumny. Przyłapano ją na tym występkę.

— Uprawiam miłość ze zmarłymi — wyznaje trzydziestoletnia Leilah — ale nie robię tego w sposób, jaki sobie wyobrażacie. Żadnego stosunku. Jedynie dotykam, całuję, pieszczę. Objawia mi się wtedy anioł śmierci. Widzę go i czuję. Wtedy pociągam łyk krwi...

Leilah mieszka z ojcem w odległości dwóch godzin jazdy samochodem od Nowego Jorku. Twierdzi, że jej „hobby” nie zakłóca w niczym rodzinnego życia.



Christopher Lee w roli Draculi w filmie pt. „Pan Dracula” z 1976 r.

— Tatusz wie o mojej namiętności i akceptuje ją. On mnie rozumie. Raz tylko się zdenerwował, gdy znalazł w moim łóżku zwłoki. Co mam robić? Seks z ludźmi żywymi nie podnieca mnie. Przeszkadza mi ciepłota ciała i nie lubię, gdy ciało się rusza...

Także krew, którą Leilah pije, musi być zimna. Pije ją czystą lub zmieszana z czerwonym winem.

Pokój sypialny Leilah pomalowany jest na czarno. Czarne są meble i wszystkie przedmioty. Na tym tle odbija biała ludzka szkielet z plastiku. W bibliotece przeważają tytuły typu „The Necrophiles”, „Confessions of a Necrophile”, są też prace Kaplana. Leilah ma również inne zainteresowanie: malarstwo. Też w ponurych kolorach.

— Być może picie krwi jest szkodliwe. Być może wstrętne dla kogoś jest to, co robię. Ale ja niczego sobie nie wyrzucam. Obciążając stale ze zmarłymi, przełamuję się bać śmierci. Mogę umrzeć. Przynajmniej zaoszczędzę sobie trudów życia...

Nicolas Schreck stwierdza, że jeden procent ogólnej liczby ludzi na świecie, to polujący, a 99 procent stanowią potencjalne ofiary. Mówiąc to podnosi dłoń w geście przysięgi.

Mieszka samotnie w ogromnym domu w San Francisco. Przez szerokie, rzeźbione drzwi wchodzi się najpierw do elegancko urządzonego hallu, a potem do salonu, którego wystrój może zwać się z nóg najodważniejszych.

Na środku wielki ołtarz. Nad nim w górze rozpięta flaga z hakenkreuzem. Obok gigantyczny świecznik, przy nim mównica. Na ścianach starannie oprawione plakaty nazistów. W poczesnym miejscu kosmyk włosów Charlesa Mansona. Pod szklanym blatem ustawione go z boku stołu, rozłożona etykieta z kanistra po Cyklonie-B. W szklanym kufli — krew.

Obecność faszystowskich symboli Schreck tłumaczy swym zainteresowaniem historią nazizmu i podziwem dla jego przywódców. Mówi o „pogańskiej świętej wojnie przeciwko chrześcijaństwu” oraz o tajemniczej grupie SS, po której przejął spuściznę.

Schreck i jego przyjaciółka Felina od dzieciństwa są amatorami krwi. Demonstrują swój ulubiony rytuał: Schreck nacina ostrożnie ramię Feliny i zlizuje krew z palca. Całują się przy tym i pieszczą. Miłość wampirów.

Boyd Rice najlepiej się czuje, gdy leży w trumnie. Mówi, że przychodzi mu wtedy znakomite pomysły. Powołuje się na fakty: Gabriela d'Annunzio i Sarah Bernhard też spały w trumnach...

Rice nosi wysokie wojskowe buty, których nie zdejmuję nawet w nocy. Chodząc, używa czarnej laski, która w razie konieczności posłuży mu do obrony.

Rice, Schreck i Felina często się spotykają i razem chodzą. Mają te same przekonania i zainteresowania. Nazywają się „trio inferno”. Cała trójka zgodnie uważa, że Hitler nie był filikim innym, jak tylko wcieleniem pramysłiwego. Dziś, agresywny, okrutny, niepomamowany...

Rice mógłby godzinami opowiadać o tym, co przeczytał i przemyślał. Np. o grafie Draculi — królu wszystkich wampirów lub o Elizabeth von Bathory — węgierskiej arystokratce, która pila krew wyłącznie pochodzącą od dziewcząt.

Rice przygotowuje strzykawkę z igłą. Nie pozwala patrzeć na zabieg. Stawia on dla niego „święty sakrament”. Wychodzi do łazienki. Po dziesięciu minutach wraca z pełną strzykawką.

— Było mi ciężko trafić w żyłę — mówi — tym razem brałem z ręki, a zazwyczaj pobieram sobie krew z penisu...

Mieszka krew z cukrem. Trochę zjada, resztę chowa do lodówki. Kiedy za padnie noc, wyjdzie na parę chwil pospacerować...

Co dzieje się w głowach Rice'a, Schrecka, Leilah, Feliny, Hrabiny? Wyglupiają się? Udają? Są chorzy umysłowo? A może w ich obsesjach jest coś, czego normalny człowiek nie rozumie?

Mass-media uczyniły wampirów bohaterami. Spekulują na temat genetycznego mity o wampirach. Asyryjczycy mieli wampira imieniem Ekimu. U Azteków rytualną ofiarą stanowił żywy człowiek, któremu kapłan wyjmował serce. Kapłani na ziemię krew miała zapewnić obfite plony. Wyznawcy bogini Kali w Indiach także składali jej ofiary z ludzkiej krwi. W chrześcijańskiej liturgii wino mszalne jest symbolem krwi Chrystusa. Tak więc krew zawsze występuje jako zyciodajny środek.

Dracula jest nie do pokonania. Co jakiś czas bywa ożywiany na nowo przez mass-media. Właśnie teraz pojawił się znowu w kinach, w filmach „Lost Boys” i „Near Dark”. Odczyną współczesnego wampira nie jest już Transylwania, lecz getto wielkiego miasta. Dracula gra heavy-metal i podrzuca pewną dziewczynę, a potem on i jego koledzy malują sobie twarze świeżą krwią...

Także dla dzieci wymyślono coś odpowiedniego, mianowicie serial „Mały wampir”...

Ponoć o Draculi pierwszy napisał Irlandczyk Bram Stoker, w książce wydanej w 1897 r. Natomiast najnowszą postać wampira powołała do życia pisarka Anne Rice (nie spokrewniona z wymienianym wcześniej Boydem Rice). Jest ona autorką trylogii pt. „Lestat”, która w 1984 r. w USA była wielkim bestsellerem.

Anne Rice twierdzi, że bohater jej powieści — Louis, żył naprawdę przed dwustu laty w Nowym Orleanie. Został ugryziony przez wampira Lestata i sam stał się Lestatem. Anne Rice przedstawia go jako osobnika żądnego białej, dziewczęcej skóry, w której mogłaby zatopić zęby, jednak cierpiącego okrutnie, kiedy mu się to udaje. Lestat bowiem ma świadomość, że jest bardzo żyły i marzy, aby móc zostać bardzo do brym...

Obszerne dzieło pani Rice zawiera podobno historyczne i medyczne wyjaśnienie genetyzacji i fenomenu wampiryzmu.

Tłumaczyła i opracowała na podstawie prasy zachodniolamieckiej BEATA BARTOSIEWICZ

Z TEKI PROKURATORA

Wzrost wypadków drogowych ...

Z danych statystycznych za I półrocze br. wynika, że przestępczość w woj. zielonogórskim w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego utrzymuje się na tym samym poziomie. W kilku kategoriach nastąpił spadek a w innych zaznaczył się istotny wzrost przestępczości. W poważnym jednak stopniu, bo aż o 32 proc. wzrosła w województwie przestępczość drogowa. Lepsze w porze letniej warunki atmosferyczne nie wpłynęły niestety w sposób istotny na poprawę bezpieczeństwa w ruchu drogowym. Kierowcy nadal jeżdżą zbyt szybko, jak na poziom naszych rozwiązań komunikacyjnych i stan techniczny pojazdów, mało rozważnie, nie zawsze też licząc się z obecnością innych pojazdów i pieszych na jezdni. Powoduje to przykre konsekwencje, których można było uniknąć.

— do tragicznego wypadku doszło 14 sierpnia br. na trasie E-65 w rejonie Kalska k. Sulechowa. Prowadząca samochód Fiat-126p, mieszkanka Nowej Soli zjechała gwałtownie na przeciwny pas ruchu i zderzyła się czołowo z autobusem „Ikarus”. W wyniku zderzenia śmierć poniosła kierująca samochodem, jej 2 dzieci i pasażerka samochodu. Trudno w bezsporny sposób wyjaśnić przyczynę wypadku, istnieje jednak domniemanie, że kierująca rozmawiając z dziećmi nie obserwowała w sposób dostateczny drogi.

— w czerwcu br. na drodze pomiędzy Siedliszkiem a Przyborowem kierujący samochodem „Nysa” Zbigniew Z. rozwinął nadmierną prędkość, zjechał na pobocze drogi i uderzył w przydrożne drzewo. Należący do Zakładu

Rolnego w Siedliszku samochód został poważnie uszkodzony.

— w tym samym miesiącu w rejonie Otyńska kierowca „Lada” z restrykcją szczytną zjechał nagle na lewy pas ruchu. Doprowadził tym do zderzenia z jadącą z przeciwnego kierunku „Syreną”. Obydwa pojazdy zostały poważnie uszkodzone.

— wczesnym popołudniem 21 czerwca w Świącie na ul. Odrodzonego Wojska Polskiego, kierujący Fiatem-125p Stanisław G. przed dokonaniem skrętu w lewo nie udzielił pierwszeństwa przejazdu nadjeżdżającemu z przeciwnego kierunku motocyklistie. W następstwie zderzenia kierowca motocykla doznał poważnych obrażeń.

... i pożarów

W pierwszym półroczu br. wzrosła także poważnie liczba pożarów. Znaczną ich część spowodowana była zwykłą ludzką bezzmysłowością lub niedbalstwem. Były także świadome podpalenia. Wg wsi Bulin gm. Kożuchów. Nocą z 10 na 11 sierpnia br. mieszkaniak tej miejscowości, rencista, podpalił stodołę wypełnioną słomą i siano. Znajdowały się w niej także maszyny rolnicze. Straty przekroczyły 2 mln zł. Sprawy pożaru wznicił ogień przy pomocy zapalek, a motywy jego czynu była zemsta na nieporozumieniu sąsiedzkich. Przypuszczając się, że czyn ów pozostaje w związku ze stwierdzeniem wcześniej zaburzeniami umysłowymi u podejrzanego. Sprawę podpalenia zatrzymano w kilka godzin po pożarze. Prokurator zastosował wobec niego areszt tymczasowy.

Prokurator Rejonowy w Zaganiu skierował akt oskarżenia przeciwko Henrykowi A. ojcowi trojga dzieci, który podejrzewając żonę o infamne kontakty z sąsiadem postanowił spalić jego garaż wraz ze znajdującym się tam samochodem. W tym celu podpalił sąsiadującą z garażem własną komórkę. Tylko szybka interwencja straży pożarnej zapobiegła rozszerzeniu się ognia. Sprawca został tymczasowo aresztowany.

LEX



Kochadełka

„Pani Sędzio. Bardzo tego żałuję co zrobiłem na wolności. Czy mogę wierzyć, że jeżeli będę miał dobre spracowanie to wrócę do domu. Gdybym wrócił do domu to nigdy nie uziębłbym cudzej rzeczy. Żyłbym jak normalne dziecko”.

W czasie lekcji zwrócił się do nauczycielki per „ty stara k...” i to zapewniło mu środowiskowy prestiż. Wydało mu się, że świat ludzi dorosłych jest bezsilny w starciu z nim, Markiem Z.

Nieudolna wychowawczo matka załamuje ręce, nie wie domo czy z powodu syna, czy kolejnego konkubina, który ogolił mieszkanie odszedł w siną dal. Marek potarzał cztery klasy szkoły podstawowej i obecnie rozwija swój intelektualny OHP. Ogrom wolnego czasu, którym dysponuje, potrafi bez trudu zagospodarować — towarzyskie pogawizki zakrapiane czymś mocniejszym, oglądany kolejny raz film z „krwistymi” scenami, dyskoteka, salon gier automatycznych. Kiedyś chciał uprawiać boks, lecz przeciwstawił się temu wychowawca. Pierwsze wiano dokonane w 1984 roku (miał wówczas 12 lat) przyniosło mu sporo emocji i nadzór kuratora. W 1987 r. z dużo starszymi współnikami „dogładał” zaparkowane przed „Polanem” samochody. Starannie ubrany i ufryzowany pojeździł na „przystojniaczka” szermując ochoczo hasłami w rodzaju „wszystko jest bez sensu, nie mam przyszłości”. Włamanie do jednej ze szkół podstawowych, którego był przewodnikiem, stanowił kliniczny przykład wandalizmu i eksplozji bezzmysłowej agresji.

Krzyśtof L. zawsze był schłodnie, wręcz „szpanersko” ubrany, czym wzbudzał zazdrość kolegów. Dobrze sytuowani rodzice chętnie latorośl chętnie chwalić się nią i kupionym za dolary kolorowym telewizorem. Sie-

lanka trwała do czasu zimowych ferii, gdy nagle Krzyś stwierdził, że nauka nie ma sensu i nie zapewnia mu żadnej przyszłości. Rozpoczął życie „jak w telewizji” pełne silnych kumpi i emocjonujących zdarzeń. Zaczęło się od kradzieży cukierków, później był „gigant” do Wrocławia i włamanie do kiosku „Ruch”. Rodzice są bezsilni. Spełniają kolejne coraz bardziej wyszukane zachcianki syna, byle tylko powrócił „na łono rodziny”. Czują, że coś stracili i sami siebie pytają „dlaczego”?

Marcin K. w wieku lat 16 również twierdzi, że nie ma przed nim przyszłości i dlatego stara się żyć z dnia na dzień. Placząc po nocach matka i wiecznie pijany ojciec, wszczynający efektowne burdy. Stłoczone w niewielkim mieszkaniu dziesięć osób z trudem się toleruje.

Marcin rozpoczął od ucieczek z domu, aby znaleźć się jak najdalej od nieustannych awantur. Później próbował boks, lecz szybko przekonał się, iż tam nie tylko się bije ale i często otrzymuje ciosy. Uparty i złośliwy we wszystkich swoich poczynaniach kieruje się zyskiem. Nawet matka ze sporą dozą rodzicielskiej dumy stwierdziła, że chłopak ma smykalkę do pieniędzy. Włamanie do samochodów i autobusów, „demolki” szkół, kradzieże motocykla i motorowerów, akcje z „gatunku” „mały kops-nij dyche” to początek jego biografii, lecz on nie widzi przed sobą przyszłości. Co lubi robić najbardziej? Wachać kiej.

Na pierwszych stronach ilustrowanych magazynów oglądamy zwykle młodych ludzi w harskich mundurkach przed namiotem, pochylonych nad książkami, grających w siatkówkę na szkolnym boisku. Pocięty, którym z czułością podciąga się kolarę pod brode, lecz zwykle nie wie, co robią, czym żyją, jakie są ich plany i pasje. Dzieci zamienione w kochadełki wtłoczone w życie swoich rodziców starających się by były takie same, jak oni w ich wieku.

Jednak dlaczego przyspiesza pani kroku, gdy zapada zmierzch, a pan żaluje, że w młodości nie uczęszczał na kurs judo? Przemykają państwo chyłkiem w pobliżu dy skotek i parkowych ławek, gdzie młodzież zwykła się spotykać? Dlaczego wchodzi pani z lekkiem do ciemnej klatki schodowej? Przecież te dzieci są tak dobrze wychowane. Wygodna jest myśl, że ci wszyscy „nieodbrzy” to dzieci kryminalistów i alkoholików a nie „maluchy” naszych znajomych, którymi jeszcze wczoraj się chwali-

DARIUSZ CHAJEWSKI

— Przyniosła Pani do redakcji stos egzemplarzy tomiku wierszy Janusza Koniusa „Z Kraina i Abia” i prosi o autografy. Na co Pani te książki? Chyba nie kupiła ich Pani dla siebie?

— Kupiłam je za pieniądze uzyskane z loterii, która odbyła się w naszym Ośrodku Nowoczesnej Gospodyni podczas „biesiady pokoleń” parę miesięcy temu. Książki z autografem autora powodują, za zwrotem pieniędzy, do prywatnych bibliotek w Starym Kisielinie. Ludzie będą bardzo zadowoleni.

— Dlaczego wybrała Pani wiersze mojego szefa?

— Ponieważ podobają mi się te wiersze oraz ich autor, jako człowiek i twórca. Redaktor Koniusz został zaproszony na „biesiadę”. Mówił i bardzo uważnie słuchał naszej, nieprofesjonalnej poezji. Zjednał sobie ogólną sympatię i teraz każdy z ciekawością sięgnie po jego wiersze. Przyznam, że jest jeszcze jeden wzgląd, mianowicie — tomik ma dość przystępną cenę. Będzie także stanowił nagrodę w naszych minikonkursach.

— Czy zna Pani również innych poetów lubuskich?

— O tak, wszystkich. Przemawiają do mnie także wiersze Czesława Sobkowiaka. Mam nawet tomik podpisany przez niego. „I ten jest poetą, kto w jasność wierzy...” Człowiek musi w coś wierzyć.

— Wspominała Pani o „biesiadzie”... I napisałam o niej w liście do waszej redakcji. List został wydrukowany w numerze jedenastym „Nadodrza”, z przełomu maja i czerwca br., lecz fragment mojego wiersza został zniekształcony przez pominięcie jednego słowa. Powinien brzmieć:

— Sama o tym nie wiedziałam, aż do wspaniałej imprezy, która odbyła się 16 i 17 kwietnia br. w Zaganiu. Był to zlot poetów nieprofesjonalnych, zorganizowany przez Zaganiński Pałac Kultury, za co niech mu będzie chwała. Już nieco wcześniej zetknęłam się z Robotniczym Stowarzyszeniem Twórców Kultury i jego prezesa Kasią Rabej. Ten zlot, te nasze rozmowy, ci niesłuchanie interesujący ludzie, których tam poznałam, wszystko to po prostu mnie uskrzydliło. Chce mi się żyć i tworzyć nowe.

Fascynacje

„Kto marzyć zdolny, ten żyć potrafi...”

Z Ireną Czarczyńską — Szaflik — gospodynią domową i działaczką kultury ze Starego Kisielina rozmawia Halina Ańska

— Jakże są Pani wiersze?

— Różne. Lepsze, gorsze. Czasem się rymują, czasem nie.

— Co Pani z nimi robi?

— Piszę i składam. Nie mam przebiecia, aby je wydrukować. W wierszu pt. „Satyra na leniwych wydawców” zwracam się w tej sprawie do Aleksandra Krawczuka.

Panie ministrze od kultury zdrowia zycze i długiej władzy zaraz wypłuszcie listu treści: bez pana sobie nie poradzę aby swe wiersze ludziom nieść...

— A jednak los trochę Pani pomaga. Miała Pani audycję w Zielonogórskim Radiu a Pani wiersz — jeden, może więcej, znajdzie się w zbiorze przygotowywanym przez Henryka Szyłkina.

— Od jak dawna Pani pisze?

— Zaczęłam jako dziecko. Na studiach koleżanki podsuwały mi tematy, i pisałam wiersze niejako na zamówienie, było to zabawne.

— Na studiach?

— Tak. Ukończyłam Uniwersytet Gdański w 1971 roku. Jestem magistrem chemii.

— No proszę. Dyplomowana chemiczka z wyższym wykształceniem stoi na placu targowym i sprzedaje pomidory. Oto jeden z paradoksów naszej współczesności.

— Wcale się tego nie wstydzę. Sprzedaję to, co przy naszej — męża i mojej pomocy — plodzi skrawek ziemi, który po siadamy. Sprzedaję plony naszej pracy. Ukończyliśmy kursy hodowli warzyw i kwiatów. Oboje jesteśmy rencistami. Kiedyś ciężko chorowałam i musiałam zrezygnować z pracy zawodowej.

— Dom, gospodarstwo, rodzina, plac targowy. Kiedy Pani pisze?

— Kiedy mnie coś napadnie. Czasem przerywam pranie lub odchodzę od paleniska. Nie rozstaje się z notatnikiem na wet na targu.

— Zajmuje się pani tylko poezją?

— Próbuje też pisać prozą. Idealnie, do którego zmierzam, są krótkie, zwarte opowiadania. Przeczytałam niedawno coś takiego w „Nadodrzu” pod tytułem „Odłot”. Zdumiona jestem, że autorem, jak Pani mówi, jest palacz z Elektrociepłowni. Takiego opowiadania nie powstałoby się pisarz profesjonalny. Chciałabym pisać takie formy. To znaczy umieć skreślać, jak sądzę. To wielka sztuka. Umieć opanować rozwlekłość.

— Co na to wszystko mają?

— Mam być szczera? Jest zachwycony. W audycji radiowej zapytałam go, czy mnie kocha, a on odpowiedział: „ko, cham cię tak, jak ty kochasz swoje wiersze”. O, mnie rozumie. Czasem myślę, że przy innym mężczyźnie nie napisałabym nic. Tylko niech pani nie myśli, że ja nie nie robię, tylko piszę. Wszak ko co do mnie należy jako do żony i matki, a także córki, bo mieszkam z nami moja mama, staram się wykonywać jak najlepiej. Lubię gotować, pieknie nie zle ciasta. Może dlatego rodzina popiera moją twórczość?

— W jednym z wierszy pisze Pani: „nie jest zbyt dobrze gdy zwątpienie serce ogarnie przedwczesnie” i potem: „kto marzyć zdolny ten żyć potrafi, kiedy rozsądne są kształty marzeń”. Więc zdaniem Pani nasze marzenia powinny być przyziemne, przykrojone do istniejących realiów, szybowane nisko, tak, aby je można było dościsnąć?

— Właśnie tak uważam. Poeci odchodzą od rzeczywistości tak daleko, że czasem piszą brednie. Nie wystarczy o tak sobie bujać w obłokach. Poezja ma przećć coś do spełnienia. Musi człowiekowi pomóc przeżyć i wytrwać. Poeta powinien ludziom pomagać w podnoszeniu się i prostowaniu, a nie skłaniać ich ku dółowi i obniżać.

— Więc nie pochwała Pani owej „słodkiej dekadencji”?

— Czasem bardzo długo szukam odpowiedzi.

— Absolutnie nie. Optymizm, pogoda, spokój, wiara, harmonia, nadzieja — oto co ludziom potrzebne. Marzyłam kiedyś, by urodzić dziecko. Wierzyłam, że to się stanie. I stało się po dwunastu latach. Mam dziś wspaniałego synka.

— Powiedziała Pani, że pisze i składa. Więc nie zabiega Pani wcale o publikację?

— Robię to niesmiało. Ze smutkiem myślę czasem, że moje wiersze leżą w szufladzie, jak motyle przypięte szpil-

tego, co widzę, poświęcam wiele czasu pracy społecznej — w Kole Gospodyń, w radzie sołeckiej, w której jestem sekretarzem oraz w Kole Przyjaciół Harcerstwa, któremu przewodniczę od 1983 roku. Choć nie działam dla pochwały i medali, miło mi było, gdy otrzymałam odznaczenie „Za zasługi w rozwoju województwa zielonogórskiego”.

— Jaka Pani jest przede wszystkim?

— Uczuciowa, zycziwa, ciekawa. Sporo czytam. Choć należę do osób głęboko wierzących, w 1980 roku ukończyłam z wyróżnieniem WUML. Człowiek powinien uczyć się, poznawać, wzbogacać, dziwić się, zachwycać, zgadzać, protestować. Żyć!

— Wśród wyłącznie realnych i dość gwałtownych marzeń, która ma co dzień stoi przy straganie i ma na głowie cały dom, czy jest jedno marzenie najwięcej i szczególne?

— Długo by mówić o tym. Mafii plany i marzenia związane z moją pracą społeczną, jak np. urządzanie i ozdabianie harcówki i ośrodka KGW. Moim marzeniem jest też budowa kaplicy w Starym Kisielinie i cieszę się, że sprawę tę popierają miejscowe władze, także PRON i sam Jan Dobraczyński. Marzę o dobrej przyszłości dla mojego, obecnie trzynastoletniego Grzesia. O zdrowiu dla rodziny. A najgorętsze, osobiste marzenie mam dwa. Pierwsze, to własny tomik wierszy. Nawet całkiem mały i na nie najlepszym papierze, ale

Irena Czarczyńska-Szaflik

Erotyk

Baw się moim włosom
jedwabny i lśniący
tul piersi spragnione twoich
rąk dotyku
uczucia rozedrgaj
co tkwią we mnie śpiące
zaczaj zakolysz
daj westchnąć swobodnie
przy twym spocząć boku
gdy głowę ramieniem przyciągniesz
przytulisz pogładzisz
bym czuła że ciepło i dobrze
spokojnie bo czuwasz
bezszywnie bo z tobą
szczęśliwie
bo jesteś

Sami też sprawiedliwie
werdykt daliśmy
palmę pierwszeństwa młodym —
niech rosną wysokołotni
starzy — niech nigdy nie będą

sobie — by pamiętać, samotni
żeśmy też czasem pisali.

— Kto biesiadował?

— Mieszkańcy wsi i goście, łącznie sto pięćdziesiąt osób. Władza gminy w osobie naczelnika pani inż. Bożeny Ochman-Spaczyńskiej, prezes GS inż. Roczniński — dzięki któremu mamy w ośrodku pianino, rada nadzorcza GS, kierownictwo Banku Spółdzielczego oraz inni sponsorzy. Dziennikarka z Warszawy Elżbieta Krakowiak z tygodnika „Motywy”. Szkolna drużyna ZHP, która dała piękny występ. Była wystawa plastyczna. Młodzież pod kierunkiem nauczycielki mgr Jolanty Smal recytowała wiersze poetów takich, jak ja.

— Poetów? Więc tak wiele ludzi pisze wiersze?

— Autorką audycji radiowej była red. Linkiewicz. Dziesięć minut i piętnaście sekund. Tremę miałam podczas nagrania, podczas słuchania też. Mój własny głos i moje wiersze. A dla autora debiutu jęcego to wielkie przeżycie. Audycja nosiła tytuł „Tak trudno zabić smoka”. Nadana została 19 lutego 1981 roku po południu.

— Czym jest dla Pani poezja własna oraz cudza?

— Częścią życia. Częścią mnie samej. Potrzebna mi jest jak powietrze. Jest lekkiem i ukojeniem, bodźcem i wskaźnikiem. Ostatnio podniósł mnie na duchu tomik Brandstaettera „Księga modlitw dawnych i nowych”. Mam go przy sobie, niech Pani spojrzy i przeczyta „Elegię o śmierci żony”, jest wspaniała. Jestem też raz zafascynowana Brandstaetterem prawie tak samo, jak byłam kiedyś Jasnorze wska-Pawlikowską, której zazdrościłam, że tak łatwo przychodzi jej słowo.

— A Pani przychodzi trudno?

— Czasem bardzo długo szukam odpowiedzi.

Wojna niech legendą będzie

ciąg dalszy ze str. 3

niemieckie ziemianki, gdy wojna się skończyła? Sciany i stropy bez wzmocnień i drewnianych wiązań obsunęły się w ciągu tych lat i zarosły leśnym poszyciem...

Tę samą piaszczystą drogą wracałam w upale i kurzu, teraz już cały czas pod górę. Mijamy znowu brązowy domek. Kobieta z wysiłkiem podnosi rękę na pożegnanie. Chłop przetrwał orkę i położył się pod różanym krzewem. Zdzisław Mazurek ponownie wyszedł przed dom. Przestajemy pod dębem. Myślę, że scena ta już nigdy się nie powtórzy. Nigdy nie przyjdzie tu w tym składzie, a to drzewo pamiętające historię, wkrótce przestanie żyć.

Brama! Przecież tutaj właśnie musiała być ta wielka, wspaniała brama z olbrzymim orłem u szczytu. Mazurek przytakuje. Kiedy przyjechali, brama stała. Rozegrali ją, a drzewem napalili w piecach...

Autobus toczy się kulawo do szosy, przy której stoi zajazd. U wejścia napis: „Trzy deby”. Piwo eksportowe, sie dziki, stek. Nasuwa się wspomnienie żołnierskiej kuchni. Co jeśli, gdy siedzieli w chełmskich lasach?

Kapusta, kasza, kartofle, czasem jakas wędzonka. Konserwy, wśród nich najlepsza w świecie: tuszonka. Gorzej było z chlebem. Czasem go brakowało. W okrażeniach — pod łożycami i Budziszynem wcale nie było chleba. Marzyli o chrupkości „przylepkach”.

Na terenach niemieckich wchodzili do pustych, pootwieranych mieszkań. Kredensy i piwnice pełne były żywności. Słoików z przetworami, wędzonej słoniny, butelek z winem. Nie ruszali niczego, bali się, że zatrute. Ale potem je dli i nikt się nie struli.

Ktoś opowiada:

— Słyszmy warkot. Patrzymy — nad

ciągają. Aż czarno na niebie. Uciekamy w zagajnik. A oni siekają jak cholew. Nie wszyscy zdążyli. Kilku upadło i zostało na drodze. Nie podnieśli się więcej. Nagle widzimy z przerażeniem, że drogą pędzi nasz gazik. Kule tylko świszczą, pociski huczą, a on jedzie — kierowca wariat. Mówimy — no, już po tobie, bracie. A tymczasem wcale nie. Zdażył uciec!

— Ten kierowca wariat, co wtedy tak pędził, to ja — mówi Władysław Dziura, który po wojnie zamieszkał w Zaganiu i mieszka tam do dziś...

Spotkanie z mieszkańcami Zawadówki odbywa się w świetlicy małego zakładu, produkującego okleiny do mebli. Pachnie trocinami. Przemawia pułkownik Michał Kolesnikow. Jest bardzo wzruszony. Wyciąga chusteczkę i wyciera oczy. Odwiedził dom, w którym przez pewien czas mieszkał na kwatery. Wszyscy go pamiętają. Jedną kobietą rzuciła mu się rażące z płaczem: — Kochane! ty na moim weselu byłeś! Plk. Kolesnikow mówi, że swym przyjazdem tutaj spełnił marzenie całego życia.

Część artystyczna w wykonaniu dzieci szkolnych z Zawadówki. Wprawia mnie w zdumienie. Jak kwiat na ugorze. Wiersze i piosenki cudownie dobrze. Wykonawstwo godne prawdziwej sceny.

Akompanuje dziewczyna z gitarą. Grupa dzieci w różnym wieku śpiewa unisono, z ogromną muzykalnością:

„My nie chcemy więcej wojny
chcemy żyć życiem spokojnym
chcemy pokój stworzyć wszędzie
wojna niech legendą będzie...”

Powrót do Chełma. Tłum, gwar. Ktoś woła:

— Zina, pajdi k'nam!

Zinaida Pogodina, była sanitariuszka w I Korpusie rozgląda się, szuka kogoś. Kazimierz Brodnicki, chorzysta z IV Brygady pamięta ją młodszą, śliczną. Była jak słoneczko. Wszyscy żołnierze się w niej podkochiwali.

— Kiedyś patrzy — opowiada — bieg nie Zina lasem. Myślę — zaczęlibym ją, ale czy przystanie? Przystanęła i po gadala ze mną. Byłem w słodnym niebie. Potem gdy zostałem ranny, też się zjawiała i zajęła się mną bardzo troskliwie.

— Pamiętasz imię? — pyta teraz Zina. A Zinaida Pogodina była żołnierz I Polskiego Korpusu, od wczoraj honorowy członek społeczności Chełma, uśmiecha się radośnie.

— Czy to nie ty kiedyś w lesie do mnie zagadał?

— Tak, to byłem ja — odpowiada Brodnicki i przez moment czuje się tak, jak wówczas, gdy miał 19 lat.

— Czy nie widział ty tego Dereszkiewicza, zapomniałam jego imię, ze spalonymi palcami? Żyje on? Przyjechał? Brodnicki woła Dereszkiewicza — i ten powoli podchodzi do Ziny, zdrową ręką zakrywając spaloną, zniekształconą dłoń.

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

dla czego pisze, odpowiedział: „żeby nie zwariować”.

— Słyszałam wiele o Pani aktywności i niestwierdzeniu.

— Choć piszę wiersze i rozmiłowana jestem w poezję, po ziemi chodzę mocno i oczy mam szeroko otwarte. A że nie potrafię pozostawać obojętna wobec

żeby był. I drugie: kącik poezji nieprofesjonalnej w „Nadodrzu”, gdzie mogli byśmy czasem prezentować swe wiersze my, poeci zrzeszeni w Robotniczym Stowarzyszeniu Twórców Kultury.

— Życzę Pani, aby wszystko to się spełniło.

— Pokaż mi twoją rękę — woła Zina — ty pomnisz, jak ja cię opatrzywałam i moje słzy kapaly na twoje biedne, popalone palce?

Placzą oboje...

W Sawinie na ryneczku odsłonięcie pomnika: jest to autentyczny czołg T-34, jedna z tych maszyn, które wspaniale spisywały się w bojach z niemieckimi „tygrysami”.

W Chełmie odsłonięcie tablicy na gmachu dzisiejszego szpitala: „W tym budynku od VIII 1944 r. do II 1945 r. stacjonował sztab I Polskiego Korpusu Pancernego. Uformowany i wyszkolony na Ziemi Chełmskiej wyruszył na front...”

Wizyta w najstarszej szkole chełmskiej: byłym seminarium imienia dr. J. J. Młodowskiej Obok na żołnierskim cmentarzu odnajdujemy grób pierwsze go kapelana w Korpusie, wielkiego patrioty, księdza Warchołowskiego.

Rano ulicami Chełma przeciągnęła kolumna autobusów — jedenaście wołów. Na czele milicyjny fiat z włączoną syreną. Wieczorem apel poległych i jeńców.

Patrzą mieszkańcy Chełma, co to za wojsko idzie? Gdzieś niedaleko mundury, na kłapkach medale, tu i ówdzie łaska, inwalidzka proteza. Orkiestra na przodzie gra marsza, a oni idą pierś w pierś, wyprostowani, bez zadyszki, jak kiedyś. Idą z nimi, wzruszona...

HALINA SKARBEK
(fragment większej całości)

Sceny miłosne w literaturze pięknej

Postarałam się o porządne mieszkanie. Zamiast skłonił się w nim, gdy mój rozwód stał się faktem. Nie chciała sprowadzać żadnych swoich rzeczy z tamtego domu, wszystko sprzedała. Często chodziliśmy razem do restauracji, a także na tańce. Piliśmy wódkę, nie obchodziła go już praca, często bumelował i w ogóle zubożał na wszystko.

Pewnego wieczora zapytał:

— Daj kielicha.

Zyliśmy w niewielkim nowym mieszkaniu na piątym piętrze, mieliśmy nawet lodówkę. Przygotowałam mu picie. Piliśmy różne dobre trunki, bo kwaciarnia przynosiła dobry dochód. Wychylił kieliszek.

— Jaką trucizną mnie napałiłaś? — zapytał. Nie miał jednak na myśli żadnego napoju, tylko ko wszystko, co stało się przeze mnie. Namietność gdzieś zniknęła, otrząsnął się z tego, co ma cicho mu zmyslił, a nie ma nic gorszego jak okres, gdy mężczyźni przejdzie pożądanie i zaczyna rozpamiętywać jakiś swój czyn, którego już nie można cofnąć.

mnie przeżył. Zbił mnie tak bardzo, że krew lała mi się z ust i nosa. Przeszedł dopiero wtedy, gdy szlochając z bólu, z oczami zalanymi łzami zaczęłam go błagać o litość. Lecz przez cały czas pulsowała we mnie wielka żądza i w jego ramionach poczułam znowu wielką rozkosz, gdy nagle pożałował swego czynu i w ten sposób starał się mnie pocieszyć. Dlatego dalej dokuczałam mu, trafiając w jego słabe punkty, wymyślałam najbardziej kłliwe słowa, żeby go obrazić, i czekałam, aż wybuchnie gniewem.

Był coraz bardziej zmęczony, bardzo schudł, sine cienie pod oczami sięgały kości policzkowych i miał trudności z zasypianiem. Od czasu do czasu okropnie się upijał, żeby móc usnąć. Myślał, że kochał go najbardziej, gdy spał głęboko kim pijackim snem, bo wtedy mogłam robić, co chciałam. Obejmowałam go ramieniem i całowałam każde miejsce na jego ciele, a to nieświadomie niczego nie mogło się sprzeciwić, czasem tylko wzdrygał się bezradny w moich ramionach. Kolysałam jego głowę i całowałam w usta, w policzki, powtarzając sobie w myślach, że należy tylko do mnie.

Raz, gdy się obudził, rzekł do mnie:

— Niechby już wybuchła ta wojna, wszystko by się skończyło.

A innym razem powiedział:

— Zbyt długo nie dam rady tak żyć.

Ja jednak ciągle byłam ślepa, niczego nie przeżywałam, pragnęłam tylko żyć chwilą, a godziny, które spędzałam w pracy, wydawały mi się długimi dniami, bo ciągle czekałam na jego powrót, na to, by go dotykać. Pewnego dnia niechcący za mocno pociągnęłam firankę i hak przytrzymał karnisz wyskoczył ze ściany; nie potrafiłam go przybić z powrotem. Pomyślałam sobie, że przecież Torsti to może zrobić, i już się cieszyłam, że będzie miał jakieś zajęcie, bo lubił majsterkowanie pozwalające mu zapomnieć o wszystkim. Gdy wrócił z pracy, powiedziałam do niego:

— Karnisz spadł mi na głowę.

— Przybiję go — obiecał — ale najpierw daj mi coś do jedzenia.

Zaczął jeść, ale po chwili przerwał, zapatrzył się przed siebie i poprosił:

— Otwórz okno, gorąco tu jak w piekle.

Otworzyłam, a on wstał od stołu, podszedł do szafy, wyjął butelkę i siadając z powrotem, wparł się łokciami o blat stołu i zaczął pić patrząc przed siebie.

— Moje gotowanie już ci nie smakuje, co? — zauważyłam. — Zona ci pewnie lepiej gotowała. Znowu myślisz, że ci dosypuję trucizny?

Ale on nie spojrzał nawet na mnie, tylko ciągle patrzył przed siebie zamglonymi niebieskimi oczami.

To jego spojrzenie i okazywana mi niechęć tak mnie podnieciły, że musiałam do niego podejść, przytuliłam się i dotknęłam jego ramienia. Odepchnął mnie jednak i warknął:

— Nie dotykaj mnie, ty przekleństwo!

Poczułam wtedy ból, który sprawił mi mogły jego rzyg. Pochyliłam się ku niebu i żeby go rozgniewać, rzekłam z ironią:

— Acha, znowu myślisz o żonie? Ciągłe o niej myślisz.

Odwrocił się, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy.

— Tak, zgadza się, Maire — odrzekł, a w jego głosie nie wyczułam złości, tylko ogromne zmęczenie. — Myślę o mojej żonie. Ciągłe o niej myślę.

Powiedziałszy to wszystko wszedł na krzesło, potem na stół. Myślałam, że ma zamiar naprawić zerwany karnisz, ale on wyskoczył przez otwarte okno i spadł z piątego piętra na ulicę. Stało się to tak szybko, że upłynęło kilka chwil, zanim pojechałam, co się stało.

Gdy doszedł do siebie, zniechęcony po schodach na dół, a w głowie miałam tylko pustkę. Wypadłam na ulicę, podbiegłam do niego i upadłam na jego zakrwawione bezwładne ciało, wyjąc przy tym jak zwierzę. Objęłam go, całowałam z ust ostatnie tchnienie, a potem zwały ziemię pograżyły mnie w ciemności, straciłam przytomność.

Przez dwa tygodnie odchodziłam od zmysłów, każda sekunda oznaczała cierpienie i co noc we śnie obejmowałam jego zakrwawione bezwładne ciało. Ludzie byli dla mnie mili i okazywali współczucie, wszyscy bowiem myśleli, że potknął się przez nieuwagę przemocowując karnisz i wyjął na ulicę. Butelka i kieliszek zostały na stole, więc myślane, że zachwiał się po pijanemu. Nie miałam ochoty nie wyjaśniać, pozwoliłam, by myśleli, co chcą.

Po dwóch tygodniach doszedł do siebie i otrząsnął się ze wszystkiego. Jeśli do tej pory nie byłam uodporniona, to teraz czułam się mocna i nie istniało na świecie nic, co by miało dla mnie znaczenie. Muszę żyć dalej, myślałam, a lepiej żyć w bogactwie, niż w ubóstwie z dnia na dzień. Zaczęłam więc dotrzymywać towarzystwa radcy i tak długo go osmieszałam, aż nakłoniłam go do tego, do czego chciałam. Poszło mi to bez trudu, bo mnie przynęcał, a zorientowała się na kogo trafił, okazywał radość, będąc przekonany, że nie znalazłby bardziej nadającej się do swych celów kobiety niż ja. Zaskoczyłam go, chociaż uważał się za bardzo doświadczonego. Nie kryłam przed nim niczego ze swego życia, bo zauważyłam, że to go tylko podnieca. Sam zaproponował, żebyśmy się pobrali, bo wiedział, że nie zadowolę się byle czym. Domagałam się wspólnego testamentu i prawnych dokumentów, że w wypadku śmierci któregoś z nas, drugi dziedziczy cały majątek.

To jest transakcja — oświadczyłam. — Dopilnuję, by mógł się pan w spokoju zapisać na śmierć, a krewni nie zamknęli pana w szpitalu. Zazna pan też tyle przyjemności, ile będzie w stanie z siebie wykręcać. Proszę sobie nie myśleć, że pana kocham, toleruję tylko na równi z innymi mężczyznami i staram się być wobec pa na uczciwa.

(CDN)

(Fragmenty prozy Miki Waltariego w przekładzie Joanny Trzaskińskiej-Major przytaczamy za miesięcznikiem „Literatura na świecie” nr 2 z br.)

— Mam broń, o której policja nie wie i nie będzie wiedziała — zapewniłam. — Ona często chodził potańczyć z tym strażakiem, o którym opowiadałeś. Odprowadza ją i spędzają całe godziny na klatce schodowej. Sąsiedzi na pewno wiele razy ich widzieli. Ciebie nikt nie będzie podejrzewał. A gdyby nawet, i tak ci tego nie udowodnią.

— Ale jak to zrobić? — spytał Torsti z wahaniem.

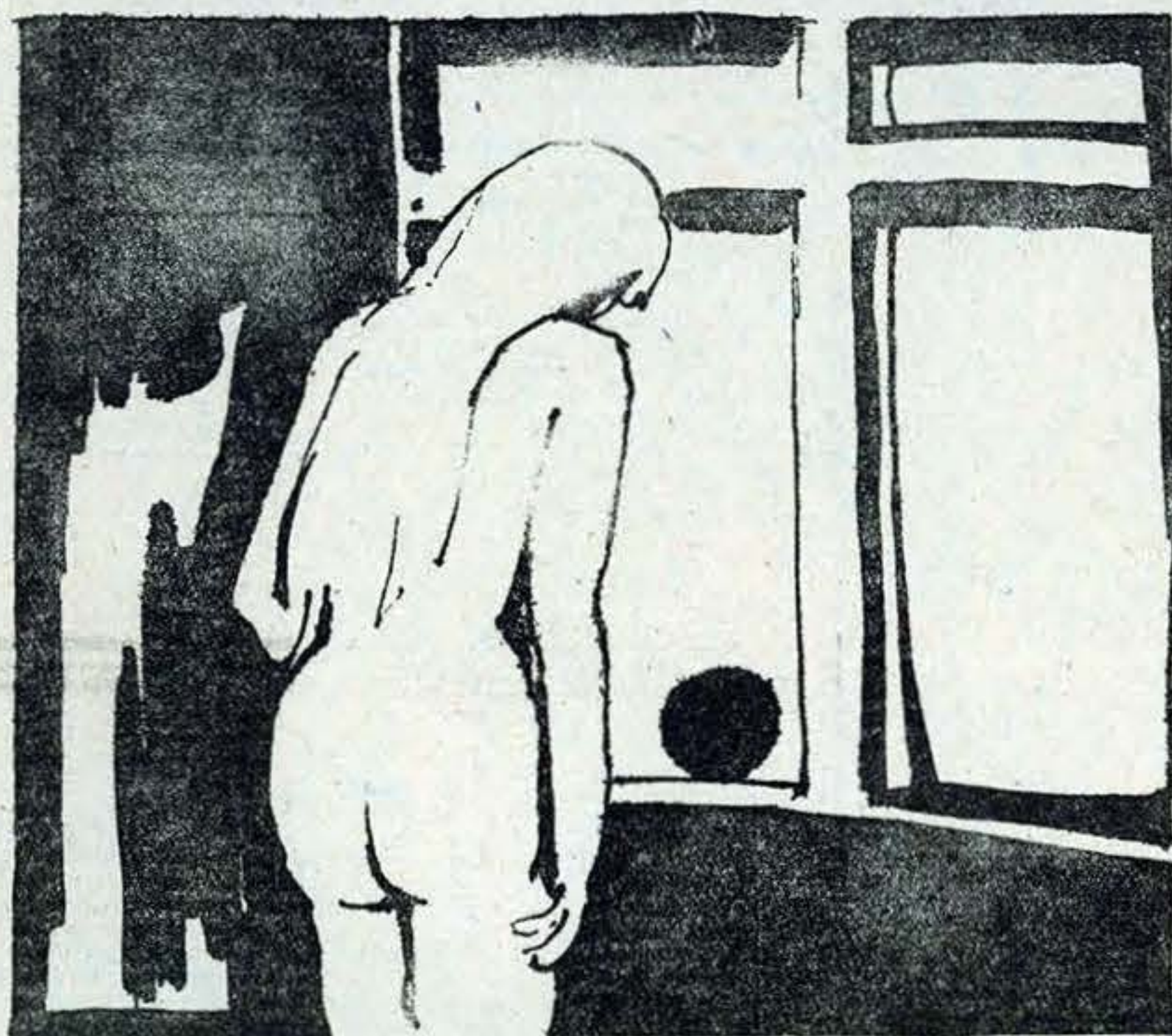
Widziałam już, że mam go w garści, chociaż dopiero zaczynał się przymerzać do tego pomysłu, nie wierząc jeszcze, że mógłby tego dokonać. Ale ja zdołałam go już omotać, sobą, swoim ciałem i dałam do zrozumienia, że stracił mnie, jeśli sam nie będzie wolny. Ta myśl powoli w nim kiełkowała, a ja tak go oszłodziłam, że był w zupełnym zamroczeniu, jak gdyby ciągle był pijany.

W końcu zrobił to. Postanowiliśmy, że nie będziemy ukrywać przed otoczeniem naszego związku. To i tak by w końcu wyszło na jaw. Lepiej zataić niewiele, tylko to, co konieczne. Moja pomocnica z kwaciarni często nas razem widywała. Tegę dnia zatrzymałam ją, dopóki nie przyszedł Torsti. Poczęstowaliśmy ją czymś do picia i do późna czualiśmy. Gdy wyszła do domu, dałam Torstiemu pistolet. Poszedł na pustą drogę czekać na swoją żonę, która miała wtedy wracać z imieniem swojego strażaka. Strzelił jej pro-

ZŁOTOWŁOSA

Mika Waltari

(4)



Rys. Leszek Hermanowicz

sto w głowę, umarła na miejscu. Wszystko trwało niecałą godzinę, a w powrotnej drodze wyrzucił broń do morza. Nie było w tym nic skomplikowanego, żadnego wcześniejszego planowania i nikt nie zwrócił uwagi na Torstiego sterczącego na pustej, ciemnej drodze. Nie strzeliłby, gdyby szła w towarzystwie, ale była sama.

Piliśmy przez całą noc aż do rana, do przyścia pomocnicy. Torsti społonił się tego dnia do pracy. Z fabryki zabrano go na przesłuchanie, ale zachował zimną krew, zaprzeczając wszystkiemu zeznając, że noc spędził u mnie. Jego żona włożyła się ostatnio do obcych mężczyzn, co mogło potwierdzić sąsiedzi, mieli właśnie wystąpić o rozwód.

Mnie także przesłuchiwano, potwierdziłam wszystko, co przedtem powiedziałam. Dziewczyna zeznała, że całą noc spędziła u mnie. Torsti nigdy nie miał broni ani nie prosił nikogo o jej pozyczenie. Przesłuchiwało także strażaka i innych mężczyzn, z którymi zmarła się spotykała. Bardzo się bała, ale żaden nie potrafił dodać nic, co rzuciłoby nieco światła na sprawę. Pozostała więc niewyjaśniona i nikogo nie oskarżono o zabójstwo. Może podejrzewali Torstiego, ale nie mu nie mogli udowodnić. Zachowywał się normalnie, był opanowany i wcale nie ukrywał, że spotyka się ze mną.

W taki sposób złapałam go i związałam ze sobą więzami mocniejszymi niż związki oparte na prawie i obyczaju. Nie był już w stanie uwolnić się od mnie, bo morderstwo nie ulega przedawnieniu. Czekając na niego ciągle w dokumentach policyjnych.

Tamtej nocy, gdy do rana piliśmy razem, Torsti po powrocie powiedział tylko:

— Strzeliłem jej w głowę.

Ale gdy minęło trochę czasu i przesłuchania ustały, rzekł któregoś wieczora, z twarzą ukrytą w dłoniach:

— Poznała mnie, zanim ją zastrzeliłem.

A gdy milczałam, dodał:

— Obejrzała się, gdy ją z tyłu doganiałem. Wiedziałam jej oczy, jak naciskałam spust.

Pięściłam go, jak tylko umiałam najczulej, ale czułam, że i w nim, i we mnie coś się wypaliło. Dawna namietność, jego niesamowity, znie walający czar już na mnie nie działał. On także się zmienił, a gdy mnie dotykał, wiedziałam, że myśli ma zajęte przez cały czas czymś innym.

Rozmawiałam o tych i podobnych sprawach, a moje uczucie do Torstiego z dnia na dzień stawało się coraz gorętsze. Wiedziałam jednak, że muszę się hamować i panować nad sobą, być trudniejszą do zdobycia, bo dzięki temu wzrastała moja wartość. Skazywałam się przy tym świadomie na cierpienie, bo każda cząstka mego ciała domagała się tylko jego. Zrobiłam się teraz prawie chłodna, gdy mówił o spotkaniu, wynajdywałam różne przeszkody, a gdy byliśmy razem, nie pozwalałam na pieszczoty, tylko mu radziłam, by wrócił do żony, jeśli tego chce. Do samego końca nie potrafiłam jednak panować nad sobą, przytulałam się do niego i za każdym razem coraz głębsza ciemność otwierała się we mnie. Było to dla mnie jednocześnie udręka, bo chciałam go mieć w każdej chwili, ciągle się z nim kochać, bezustannie go pieścić, cały świat przestając mi tylko sobą.

Kwaciarnia dość dobrze prosperowała i dzięki niej zarabiałam na siebie, chociaż zupełnie się o nią nie troszczyłam, mając myśli zajęte wyłącznie Torstim. Zastanawiałam się ciągle nad tą sytuacją, która zdawała się nie mieć żadnego wyjścia, przemysliwałam, jak go ze sobą związać zupełnie. Powierztałam więc pomocnicy sprawy związane z zamówieniami, sama miałam na oku kasę, a pomagałam tylko w najgorętszych chwilach, gdy naraz znajdowało się wielu klientów.

Przebywając w kwaciarni ubierałam się skromnie i zachowywałam bardzo powściągliwie. Poznałam panie mieszkające w okolicy i czasem przychodziło mi do głowy, że pewnie nietrudno zdobyłabym przyjaciół spośród przywoitych ludzi, gdybym tylko chciała. Ale nie uśmiechało mi się to mieszczańskie życie, prozaine kawki i ploteczki, bo myślałam tylko o Torstim. Panowie chętnie kupowali u mnie kwiaty, gawędząc przy tym, bo ciągle jeszcze byłam piękna, a paląca się we mnie namietność czyniła mnie pewnie jeszcze piękniejszą i dojrzalszą. Przez te kilka miesięcy żyłam właściwie jakby siedząc na rozżarzonych węglach.

Pewien radca zwracał na mnie większą niż inni uwagę, miał zwyczaj zaglądać przez okno wystawowe, i gdy mnie dojrzał, wchodził, by pogadać. Mieszkał w sąsiednim domu, nie mam pojęcia, jakim był dokładnie radcą, ale wszyscy tak go tytułowali. Był bardzo bogaty, przychodził zawsze w drogim futrze, które sapiąc odpychał. Nos i policzki miał sine z zimna, a oczy zasnuwane mgłą. Zalatywało od niego alkoholem i myślę, że nigdy nie widziałam go trzeźwego. Mówił jednak zawsze z sensem, miał wytworne maniere starszego pana po sześćdziesiątce.

Któregoś niedzielnego ranka wszedł do środka. Był dość marnym stanie, bardziej siny niż zwykle i spytał, czy nie mam przypadkiem korniku. Bolało go rzekomo serce, a resztki zapasów wypili mu poprzedniego wieczora goście. Za prowadził go na zaplecze. Rozmawialiśmy aż do dwunastej, kiedy to w restauracjach zaczyna no podawać alkohol.

— Zapije się pan kiedyś na śmierć — ostrzegłam go, bo był na swój sposób miłym, starszym panem, o wielu rzeczach wiedział i rozmowy ze mną nie uważał za poniżanie się.

— Za wiele przeżyłem — rzekł. — Znużono mi się to wszystko. Niedługo wybuchnie wojna i mam nadzieję zakończyć wtedy życie.

Zaprosił mnie do siebie, teraz on mnie chciał z kolei czymś dobrym poczęstować. Poszedł tam kiedyś. Mieszkał w starym domu, ściany mieszkania miały obwieszane bronią, starymi obrazami, portretami. Posiadał bogatą kolekcję medali i cały czas niczym innym się nie zajmował, tylko swymi zbiorami, a gdy bywał nieco trzeźwiejszy, szedł do sklepu z antykami, by dokupić jeszcze medali. Pokazał mi ten zbiór, częstując przy tym świetną maderą. Podczas rozmowy nagle złapał mnie za rękę i zaproponował:

— Proszę, niech pani zostanie moją gospodynią. Niedługo i tak się zapije na śmierć, ale nie zapomnę o pani w testamencie.

Był wdowcem, a swoją poprzednią gospodynię wyrzucił za to, że zamykała przed nim na klucz szafkę z trunkami i protestowała, gdy sobie czasem sprowadzał młode dziewczyny, by im pokazać medale, a przy okazji pomagać trochę. Ścisnął mi rękę i patrzył w oczy, a z jego spojrzenia wyczytałam, że choć sędziwy i ciągle pijany, to w starym piecu diabeł pali. Uśmiechnęłam się do niego i pomyślałam spokojnie, o, stary, jeśli zechce, jeszcze ci dostanę. Wyobrażał sobie pewnie, że jego lubieżne zachcianki mogą mnie zaskoczyć, ale nie przypuszczał, że może być odwrotnie.

Patrzyłam to na niego, to na zasobne, stare apartamenty. Powinien mieć przecież kochającą, siwowłosą żonę, dzieci i wnuki kręcące się wokół. Mógł się zestarzeć godnie, ale alkohol wypłukał z niego wszelkie zasady noszące ze sobą dobre obyczaje, wychowanie, kulturę życia, a narzucał temu staremu człowiekowi władzę żądzy i zmysłów. Przedstawiał sobą zupełną ruinę ludzką i rzeczywiście w krótkim czasie dosięgnie go śmierć z przepięcia.

— Niestety, nie — odparłam, ale pozwoliłam, by trzymał moją rękę i patrzył mi nadzwyczaj w oczy. — Nie zostanie pana gospodynią. Przyjdzie się z pewnym porządnym człowiekiem i niedługo wychodzi za niego za mąż.

Nie upierał się przy swoim, bo umiał ukryć swe prawdziwe uczucia, a może nawet się ich wstydił. Był stary i umiał czekać. Wiele doświadczył i może odkrył we mnie coś, co pobudzało jego zmysły i odpowiadać mogłoby jego oczekiwaniom.

Torstiego denerwowały moje historie o radcy i jego milionowym majątku. Mówił, że mogła bym zostać gospodynią starego i przed jego śmiercią zgodzić się na małżeństwo, by odziedziczyć spadek. Słyszając to Torsti unosił się gniewem.

— Co innego mogę zrobić? — dolewałam oliwy do ognia. — W ten sposób zostanie chociaż bogata i będę miała tyle, ile dusza zapagnie. Sprawie sobie eleganckie futra, będę jeździć za granicę i za te wielkie pieniądze zdobędę na pewno superfaceta. Nie uwolnisz się od żony, zanim nie umrze. Bardziej ją kochasz ode mnie.

— Wiesz przecież, Maire, że kocham tylko ciebie — powiedział i zrobił mi markotny. Ukrył twarz w dłoniach, włosy miał potargane od moich pieszczot, i zamyślił się nad zamkniętymi kciękami swego łosu.

— A gdyby ona umarła?... — zaczęłam i nie więcej nie powiedziałam, bo i tak wiedział, co miałam na myśli. Był przecież inteligentny. Popatrzyliśmy sobie w oczy i oboje zadrżeliśmy.

— Ty diabliś — mruknął.

Przytuliłam się do niego i zaczęłam obcalowywać jego policzki i szyję.



Z tryptyku „Temat nr 4” (z „Człowiek-swiat...”) Ryszarda Poprawskiego z Zielonej Góry



— Obejrzałam „Szkła menażerie” i „Tango”. Obydwa przedstawienia składają, by spojrzeć na nasz teatr z sympatią. „Tango” uważam za wydarzenie artystyczne ostatnich lat, takie, jakim w ubiegłym sezonie był „Ubu król”. Co dalej?

— Adaptacja powieści Allana Artura Milne’a „Dawno, dawno temu” według scenariusza Elżbiety Hudon-Pieniak, w reżyserii Stanisława Pieniaka, scenografia Jerzego Gorazdowskiego i z muzyką Wiktora Sędzińskiego. Będzie to duże przedstawienie teatralne zrealizowane siłami obu scen: aktorskiej i lalkowej.

— Dla dzieci?

— Nie tylko. Premiera przewidziana w listopadzie br. Wcześniej na scenie lalek odbędzie się premiera „Komedii Pietruszki”. Jest to stara rosyjska opowieść ludowa w tytule z postacią popularnej pacynki. Przedstawienie reżyseruje Konstanty Rożek, scenografię robi Stanisław Echaust. Kolejną pozycją dla widzów będzie spektakl pt. „Niełatwo być psem”, według tekstów Elżbiety Burakowskiej i w reżyserii Bohdana Radkowskiego. Jednego z „ojców” telewizyjnego „Psa Pankracego”.

— Czy dzieci chodzą do teatru? Czy kochają teatr?

— Tak. Zawsze jest komplet. Dzieci żywo reagują. To wspaniała widowiska.

— Ale miłość krótko trwa. Dzieci w miarę jak dorastają odchodzą od tea-

Na zielonogórskiej scenie

Jaki będzie ten sezon?

tru. Na świetnym przedstawieniu „Tanga” widziałam, jak młodzież brała w szatni worki z książkami i opuszczała teatr po pierwszym akcie. Myślę, że taka wycieczka powinna być poprzedzona choćby krótkim wprowadzeniem na temat sztuki, która będzie oglądana, jej rodzaju, autora, sensu, przesłania epoki w jakiej powstała. Uczniowie szkół średnich, wśród których siedziałam na sali, reagowali, gdy np. ktoś wyszedł spod stołu lub powiedział „ryp w pip” albo „wion plebsie”. Ale większość mroźkowskich aluzji pozostała, jak sądzę, niezrozumiała, co wywnioskowałam usłyszawszy strzępki rozmów. Mówię o tym, bo jest początek roku szkolnego i może któryś polonista lub wychowawca klasy przeczyta. Ale wróćmy do repertuaru.

— W planie na marzec 1989 roku są „Damy i huzary” Fredry, a na maj „Wypisko” Aleksandra Dudariewa — i będzie to polska prapremiera. Do reżyserii „Wypiska” zaangażujemy Walerę Mazyńskiego — dyrektora teatru im. Jakuba Kołosa w Wilebsku. I jeszcze parę słów o propozycji sceny lalkowej: będzie to „Zemsta wroźki” autorstwa Barbary Kościuszko w reżyserii Ewy Marcinkówny.

— Czym tłumaczyć tylko cztery premiery w dramacie?

— Sytuacją finansową. Nie stać nas na więcej premier. Musimy przedstawi-

nia nie tylko zrobić, ale także je sprzedać, bo z tego jesteśmy rozliczani. Na tomiasz niewykłuczono, że odwiedzą nas teatry z Polski. Reaktywuje się tak że scena propozycji: aktorzy przygotowują coś poza planem. Z innych wydażeń warto powiedzieć o planowanym wyjeździe naszego teatru do Witebska, co nastąpi prawdopodobnie na przełomie listopada i grudnia br. Radzieckiej publiczności zamierzamy przedstawić „Tango” oraz dwa spektakle z ubiegłego sezonu: „Teatr cudów” i „Konopielkę”. Widowni dziecięcej w Witebsku pokazemy „Szwerczka Dratwę”, „Komedie Pietruszki” i przedstawienie „Zakochani”.

— Słyszałam, że dyrektor Krzysztof Rotnicki otrzymał propozycję reżyserowania „Tanga” Mrożka w Witebsku.

— Tak, to prawda.

— Chciałabym, abyście Państwo przedstawili aktorów, których okłaskiwać będziemy w tym sezonie.

— Proszę bardzo. W porządku alfabetycznym — panie: Tatiana Kolodziej ska, Iwona Kotzur, Sigrud Siewior, Małgorzata Wower, Aldona Paczkowska i Irena Wójcik — oraz panowie: Maciej Feriak, Roman Garbowski, Zdzisław Grudzień, Jacek Jackowicz, Sławomir Krzywiński, Leszek Polessa, Witold Romanowski i Michał Swiata. W zespołach sceny lalkowej, kierowanej przez Wiktora Sędzińskiego, grają aktorzy: Anna Dobrzańska, Urszula Karcz, Janina Keszowska, Barbara Kwęć-Dąbrowska, Jerzy Lamenta, Ludwik Schiller i Jan Wysocki, oraz adepci: Marzena Apenit, Anna Gżycka, Lucyna Korcowska i Magdalena Melnarowicz.

— Życzę udanego sezonu.

Z DYREKTOREM ARTYSTYCZNYM KRZYSZTOFEM ROTNICKIM I KIEROWNIKIEM LITERACKIM ALICJĄ GIZEWSKĄ

rozmawiała HALINA ANSKA



DWA KONKURSY

Z okazji 70-lecia odzyskania niepodległości Polski Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy i Lubuskie Towarzystwo Fotograficzne ogłosiły konkursy nt.: „Polska i Polacy w obiektywie” oraz „Człowiek-swiat-sztuka”. Tematy również ambitne co popularne, dostępne każdemu amatorowi fotografii. Niewiele jednak zechciało się wypowiedzieć i mimo proponowanych wysokich nagród pieniężnych, łącznie 42 autorów nadesłało 353 prace. Jury pod przewodnictwem Czesława Luniewicza (ZPAF) postanowiło dopuścić do ekspozycji jedynie nagrodzone, tj. ok. 70 prac, przeważnie w zestawach, 14 autorów. Toteż

zważywszy szeroką reklamę, ogólnopolski charakter i liczbę konkursów, tak skromny pokaz zaskoczył niektórych odbiorców. A równocześnie była to jedna z tych bardzo nielicznych zbiorowych wystaw amatorskich, które chciałyby się obejrzeć powtórnie, chociaż rewelacji nie było.

O laureatach głównych nagród (przez znano też po 4 wyróżnienia) informowaliśmy w poprzednim numerze. Wystawę prezentował zielonogórski Klub MPiK we wrześniu br.

ELŻBIETA LENSKA



Podnieść zdeptanego

haterką opowiadania tytułowego i bohaterem opowiadania „Gdzie jesteś”, odnoszą jakiś wewnętrzny sukces. Do tego „sukcesu” doprowadza ich zwykle jakiś impuls, czyjeś dobre słowo, jakieś pojedyncze wydarzenie. Jakoś łatwo ludzie okaleczeni nabywają ontologicznej niemal ufności. Kaziów wie, że w dobroć innych, ale nie każdy spotyka na swojej, życiowej drodze samych takich ludzi.

Słowem, brakuje w literackim świecie autora „Gdy moim oczom” potrzebnego dopełnienia, tej drugiej strony medalu. Dlatego jego wizja świata jest niepełna, naskórkowa i choć przepojona dobrymi intencjami, właśnie tylko intencjonalna. Jeśli opowiadanie „Jak nie zostałem gwalcielem” kończy się słowami: „Zastanawiam się nad tym, co by było, gdyby Cyganka skończyła z moją zachęty?”, a mówi to okrutnie okaleczony młody człowiek, odrzucając niedosłownie erotyczną propozycję, to w tym momencie opis właśnie takiego gwałtu, byłby literacko wiarygodny i pokazujący, wprawdzie bardzo brutalnie, całą jaskrawość ludzkiego okaleczenia. Tymczasem Kaziów wycofuje się w anegdotę. Podobnie rzecz się ma, kiedy w opowiadaniu pt. „Sejmsmograf” na pytanie jednej z współpodróżujących z bezrękim kaleką, jak załatwia potrzeby fizjologiczne, bohater odpowiada: „Zanim wejdę do tego przybytku, połykam kawałek papieru toaletowego, a potem już wychodzi suchutki i do tego bezwonny pakuneczek zawiazany niebieską wstążeczką”. Otrzymujemy tylko zrzędną dowieść. A przecież brutalny opis intymności świata kalek mógłby wytworzyć w czytelniku coś na kształt antytoksyn humanistycznych. Nie idzie tu o jakieś epatowanie ciekawości zdrowej części społeczności człowieczej, idzie o istotę, o prawdę, która musi objawiać się w okrutnych nawet przesłaniach. Wiedzieli o tym wielcy literatury. Nałkowska pisząca „Medaliony”, Kantor uprzedmiotowiający swych bohaterów, Gombrowicz piszący „Pornografię”, i wie o tym Szajna eksponując obsesję swoje wojenne doświadczenia. Kaziów ma naturalną szansę literackiego przewrótowania tak zwanej kondycji człowieczej, pokazania wartości niedocenianych i często banalizowanych: najwęższej ludzkiej sprawności. Bo ciągle powtarzanie że liczy się tylko wewnętrzne ludzkie i dobroć innych ludzi to jedynie półprawda. Dla tego jego opowiadania bardziej przypominają dydaktyczne pogadanki niż rasową literaturę.

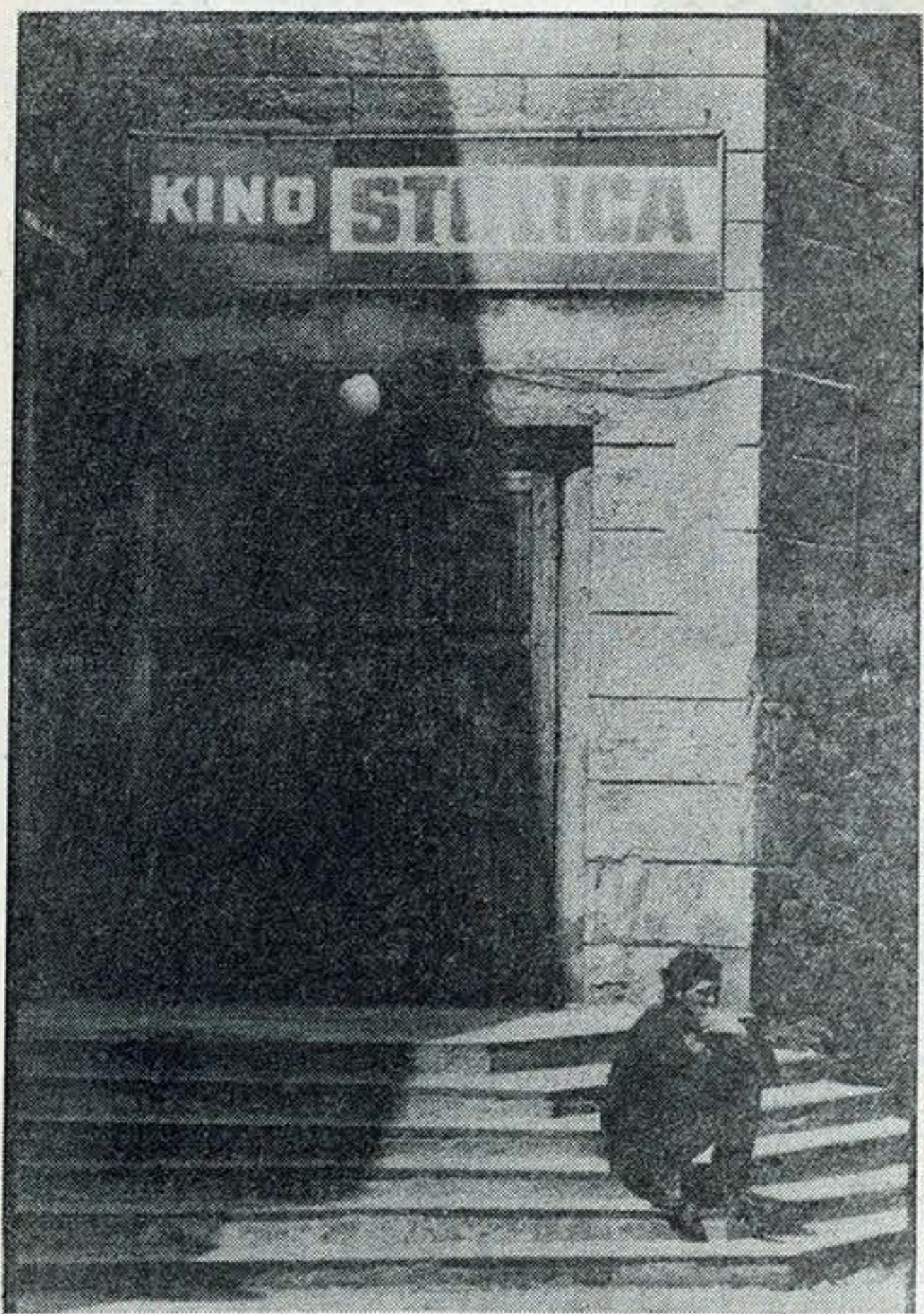
Trudno na przykład uwierzyć, że rozczulająca opowieść kobiety o swoim garbatym ojcu spowodowała napływ wiary i chęci do życia bohatera opowiadania pt. „Samobójczy”. Prawdą jest, że wielu czytelników może ta proza bardzo wzruszyć, że inaczej spojrzą na świat ludzi okaleczonych, ale literackie zadania nie zostały tutaj spełnione. Czytelnik sublimujący rzeczywistość będzie po prostu rozczarowany intelektualną prostotą przesłania niemal wszystkich opowiadań. Nawet w języku, jakim posługują się bohaterowie, można znaleźć bardzo dużo „pozytywnych” naleciałości. A powróćmy jeszcze raz z całą brutalną stanowczością: Michał Kaziów posiada już takie doświadczenia literackie, że przy swoim „dotknięciu losu” ma niemal obowiązkiem opisać wewnętrzną prawdę człowieka okaleczonego tak, aby poraziło to najbardziej wymagającego czytelnika. Bo przecież mamy do czynienia z literaturą.

Zdecydowanie od całości odbija się, w sensie pozytywnym, opowiadanie pt. „Gdzie jesteś”. Kaziów stosuje tam ciekawą narrację, momentami posługuje się monologiem wewnętrznym, pojawia się osobliwy dialog, przy czym interlokutor bohatera jest kotem i z natury rzeczy nie odzywa się. Daje to literacko ciekawy efekt retoryczny. W sensie filozoficznym zbliżył się w tym opowiadaniu Michał Kaziów chyba do istoty swojej prozy, ale w sensie bardziej artystycznym niż dydaktycznym. Oto bohater opowiadania przemierza jakąś częściową przestrzeń nie rejestrując za pomocą zmysłu wzroku najmniejszych nawet jej wartości zewnętrznych. Ale oswaja tę ciemność wywoływaniem obrazów z zapoznanej jaźni. Tak więc leży i niby „patrzy” w niebo. Pojawiają się ptaki, ale są to słowa, desygnaty. Sugestia jest jednak tak silna, że momentami czytelnik zapomina, że opowiada człowiek niewidomy. Rzeczy które on „zobaczył”, nie są często postrzegane przez ludzi widzących. Dodajmy, że ów bohater kontaktuje się z rzeczywistością przez dotyk, jest biologicznie niejaką „sprzężoną” z kotem. Wydaje się, że niemal widzi cię z zwierzęcia. Ta koegzystencja — oczywiście w świecie ludzi widzących — ma tu wymiar niemal — znowu — ontologiczny. Kot staje się wzrokiem tego człowieka. Zwierzę jest jedynym przedstawicielem zdrowego świata, pojawiającym się w tym opowiadaniu. Pierwszy kontakt z ludźmi pojawia się w polnie, kiedy to właśnie ci niby zdrowi ludzie zabijają kota. Bohater pyta: gdzie jesteś? ale nie jest to pytanie o zwierzę. To już autor zadaje pytanie: gdzie są ludzie, dla których kalektwo nie jest jedynym argumentem na nie, we wspólnym życiu.

Niestety, w całości zapoznając się z prozą Michała Kaziowa, odnosi się wrażenie, że autor „Zdeptanego podnieść” sugeruje nam pytanie o ludzi nastawionych dość opatrnie na tak do ludzi kalek. Tego nie załatwi się nawet literacką dydaktyką. Jeśli pragnie się przez sztukę dotrzeć do ludzkiej duszy używając narracji Michała Kaziowa — trzeba prawdopodobnie stosować nawet najbrutalniejsze chwytły. Wszak literatura jest zespołem chwytów i nawet szczerość powinna być w niej kontrolowana bądź kreowana.

CZESŁAW MARKIEWICZ

Michał Kaziów: ZDEPTANEGO PODNIEŚĆ. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, W-wa 1988, Cena zł 240.



„Kino” (z „Polska i Polacy...”) Dariusza Kuli z Gdańska

WIDEOKLUB

Dżungla w mieście

Wielkie miasto jest ciemną dżunglą, zamieszkałą przez dzikich i okrutnych kanibali. Tak widzi Londyn pisarz Gerald Kingsland i postanawia się uciec. Ale nie sam. Do magazynu „Time Out” daje ogłoszenie: „Poszukuję pani, która zechce mi towarzyszyć przez rok na wyspie tropikalnej” — i szybko otrzymuje odpowiedź. Lucy Irvine jest odpowiednią kandydatką na towarzyszkę. Jest młoda, powabną blondynką i, jak zapewnia, jedynym jej marzeniem jest odpoczynek w tropiku, z dala od miejskiego hałasu i cywilizacji. Wyjeżdżają więc razem, obiecując sobie wspaniały rok w tropikalnym raju.

Będzie to dla nich rok piekła. W upalnym klimacie gotują się w nich złość i agresja, a wyparowują gdzieś anielskie opanowanie, spokój, maniery. Wreszcie resztki kultury, przyzwyczajenia i dobrego wychowania. Z mieszczańskich piersi i jego towarzyszy stają się ludzie z epoki kamienia łupanego, a dżungla, którą widzieli w Londynie, opanowuje ich serca i umysły.

Reżyser Nicholas Roeg chce udowodnić, że cywilizacja jest czymś kruchym i umownym, a w rzeczywistości w każdym człowieku drzemie dzikus z jak najgorszymi instynktami. Grają: Oliver Reed, Amanda Donohoe, Tony Richards i inni. Tytuł filmu „Castaway”, czyli „Wyspa”.

Piękny grzech

Odwieczna historia o brzydkiej niewinności i pięknym grzechu. George (Bob Hoskins) wypuszczony został z więzienia. Jest niewysoki, źle ubrany, ma kiepskie maniery. Nie jest ładny, ani miły, a nawet wydatny brzuch oraz łysina. W życiu układa mu się jak najgorzej. Był na bakier z prawem i porzucił go żona.

Angażuje się jako kierowca pięknej i drogiej prostytutki Simone (Cathy Tyson), którą musi wozić od jednego luksusowego łóżka, do drugiego. Nagle zjawia się rzadki gość — miłość, George zakochuje się i idąc za ukochaną, poznaje świat peeshow, porno, narkotyków i silnej ręki. Widzi, jak pracują małoletnie prostytutki, dzieci jeszcze. Widzi gwałt, przemoc i krew. Jego po drodze przez tę straszną noc, kończy wielką orgią.

Leit-motivem w tym typowym filmie z czarnej serii, jest cudownie śpiewana przez Nat King Cole'a, słodka „Mona Lisa” (stąd reżyser Neil Jordan zapożyczył tytuł filmu). Ta piosenka i te obrazy są dla widza szokującym zderzeniem. Wśród wykonawców czołowych ról znani i popularni Michael Caine.

Wspaniały

Depardieu

Jean jest brzydkim i pechowym. Zleca się w mieście. Nie umie się znaleźć w ciągłym szumie i hałasie, wśród tłumów. Otrzymał właśnie w spadku niewielką posiadłość na wsi. Postanawia przenieść się tam i zacząć życie od nowa.

Jednak na wsi jest mu jeszcze trudniej. Nie ma deszczu, wieje gorące i suche wiatry, a sąsiedzi robią wszystko, by pozbyć się nowicjusza. Tak więc Jean nigdzie nie znajduje szczęścia.

Jest to sfilmowana powieść Marcela Pagnolsa pt. „Jean Florette” (taki też tytuł ma film). Dramat człowieka, wypełniony uczuciami zawiści i nienawiści, nadziei i cierpienia.

Znakomita reżyseria Claude'a Berri. W czołowych rolach Yves Montand i Daniel Auteuil, a w tytułowej Gerard Depardieu, który gra tak wspaniale, że można twierdzić, iż jest to jego życiowa rola.

Trójkąt małżeński

Tytułowy „Człowiek w tle” nazywa się Mike Keegan, jest gliną z Queens i pracuje w eleganckiej dzielnicy Manhattanu. W jego rewirze popełniono morderstwo. Piękna i zamożna pani widziała mordercę — i morderca widział ją. Kobieta ta musi teraz być chroniona przez policję. Zadanie to wypełnia Mike i to tak gorliwie, że aż zakochuje się w swojej podopiecznej, z wzajemnością.

Co robić? Tutaj miłość w osobie uroczej Claire Gregory, potrzebującej w do datku pomocy, a w domu żona z dzieckiem. Bardzo trudny dylemat.

Mike jest mężczyzną odważnym, stanowczym i silnym. Ale nie dosyć, by rozstrzygnąć tę męczącą sytuację. Film kończy się w sposób niespodziewany.

Reżyser Ridley Scott ukazuje problem amerykańskiej rodziny, amerykańskiego mężczyzny, ponadto przedstawia seks po amerykańsku. W rolach głównych Tom Berenger i Mimi Rogers.



Odwieczna historia o pięknym grzechu...

Zaczarowane światło

Gdy słońce zachodzi, w ostatniej sekundzie — nim schowa się całkiem za horyzont, rzuca jeszcze jeden ostatni strumień światła. Światło ma kolor zielony. Na kogo padnie, ten przeczyta w myśli drugiego człowieka. Tyle w dużym skrócie mówi legenda.

Delphine jedzie na urlop. Jest samotna i smutna. Cierpi w milczeniu. Nagle zapala się na niebie zielony promień, który oświetla jej drogę do wymarzonego księcia.

Z tej zwyczajnej, banalnej historii reżyser Eric Rohmer wyczerpał prawdziwe dzieło. Film otrzymał Złotego Lwa w Wenecji w 1986 roku i miał wielki sukces kasowy nie tylko we Francji, lecz także w USA.

Występują: Marie Riviere, Beatrice Romand, Rosette i inni. Tytuł filmu „Zielone światło”. Widzowie twierdzą, że po obejrzeniu tego filmu wstępuje w nich pogoda i radość. Czyżby sprawiło to owo zaczarowane światło?

Zmysłowy anioł

Popełnione zostało morderstwo i policjant usiłuje wyjaśnić okoliczności zdarzenia. Ale na drodze staje kobieta. Jest to morderczyni. Policjant zakochuje się w zbrodniarce o duszy diabła i postaci anioła.

Miłość, krew, gra zmysłów. Nekrofilia, kryminalizm, zbrodnia z namietnością. Na koniec bohaterowie filmu stają się ludzkimi potworami...

W roli policjanta Michel Serrault, zaś morderczynię gra Charlotte Rampling — którą widzieliśmy niedawno w naszej TV obok Philippe'a Noiret i Freda Astaire'a w dość kiepskim filmie „Liliowa taksówka”, prywatnie żona samego z najbardziej wziętych obecnie aktorów Richarda Gere (występuje on m.in. w omawianym już kiedyś w tym mieście filmie „Bez tchu” z Valery Kaprisky).

Reżyserem tego czarnego obrazu jest Jacques Deray. Tytuł tłumaczony dosłownie brzmi: „Umiera się tylko dwa razy”.

Stare pantery

Trzydzieści lat, to chwila albo wiek. Rozważają to Archie i Harry. Tytuł czasu upłynęło od chwili, gdy zostali wsadzeni za kraty po ostatnim w USA napadzie na pociąg. Teraz są wolni i dziwią się, że nie ma zapotrzebowania na gangsterów. Czyżby upadek profesji?

Ponieważ w filmie tym, zatytułowanym „Tough Guys”, główne role grają Burt Lancaster i Kirk Douglas, Archie i Harry muszą raz jeszcze pokazać światu i kinowej publiczności, jak wyglądają prawdziwi gangsterzy-dżentelmeni.

Dwie stare pantery szykują się do skoku, a potem walczą, tym razem już naprawdę po raz ostatni, o pieniądze, sławę i piękne kobiety.

Film jest holdem oddanym staremu kinu i wspaniałym, starym gwiazdorom. Ogląda się go z dużą przyjemnością. Reżyseria Jeff Kanew.

EWA FOSS

Potwierdził reformatorski kurs

O odbyło się plenium KW PZPR w Zielonej Górze poświęcone omówieniu zagadnień ogólnopolskiej polityki w aktualnych warunkach społeczno-politycznych i gospodarczych. W obradach udział wzięli również przedstawiciele Instancji wojewódzkich ZSL i SD, działacze związkowi i partyjni z zakładów pracy, a także bezpartyjni robotnicy. Plenium opowiedziało się za koniecznością praktycznej realizacji reformatorskiego kursu partii.

Dni Zielonej Góry

Tradycją stało się zadość. Co prawda z winogronami i dobrym winem trudno było się spotkać, za to towarzyszącemu „Dniom” imprezy mogły usatysfakcjonować wielu tym bardziej, że ich niewątpliwą ozdobą był wypadający w tym roku już XIII Międzynarodowy Festiwal Zespołów Pieśni i Tańca, którego sympatycznym gospodarzem był popularny Józef Broda. Z ważniejszych imprez odnotować trzeba: jarmark winobranioy i targi kolekcjonerskie, Turniej Tańca Towarzystwa i Dzieci, festyn „Spółdzielczość miastu”, uroczyste Bachanalia SF, wystawy „Serbskie freski” w Muzeum ZL i „Venus '87” w BWA. W czasie „Dni” przyznane zostały nagrody kulturalne prezydenta Zielonej Góry. Otrzymały je: znany kompozytor i reżyser (również tegoroczny festiwalu folklorystycznego) Gerard Nowak, nasz redakcyjny kolega Zenon Łukaszewicz, artystka plastyk Halina Kozłowska-Bodek, redaktor naczelny Rozgłośni PR w Zielonej Górze Tadeusz Konior i Lubuskie Towarzystwo Kultury. Trwające tydzień święto miasta zakończyło Winobranie i korowód winobranioy. Panuje powszechna opinia, że gdyby nie udział w nim zespołów uczestniczących w Międzynarodowym Festiwalu Zespołów Pieśni i Tańca korowód ten byłby niaki, podobnie jak pogoda w tym dniu. Czyżby wyczerpała się już inwencja?

Święto Prasy '88

Tuż po zakończeniu Dni Zielonej Góry rozpoczęły się tradycyjne już też Święto Prasy '88 — tym razem w Świebodzinie, gdzie ich współorganizatorem obok LKUP był Miejski Dom Kultury im. Janka Krasickiego i w Zielonogórskim amfiteatrze. Bogaty program zgromadził wielotysięczne rzesze uczestników — czytelników „Gazety Lubuskiej” i „Nadodrza”.

Dożynki w Jasieniu

Tegoroczne wojewódzkie Święto Płodności odbyło się w gminie znanej z gospodarności, w Jasieniu. Zjechali tam najlepsi rolnicy i pracownicy przedsiębiorstw rolnych, oficjalni goście, mieszkańcy miasta i gminy. Tradycyjne widowisko dożynkowe przedstawił zespół ludowy z Kłobowa. Przeważała opinia, że tegoroczne żniwa były łatwe, ale skąpe. Niższe plony, średnio o 3 kwintale z 1 ha spowodowały pogorszenie sytuacji produkcyjnej i ekonomicznej w zielonogórskim rolnictwie.

Nowy sezon w Filharmonii Zielonogórskiej

Zainaugurowała go Orkiestra Symfoniczna pod dyrykcją Czesława Grabowskiego koncertem muzyki Karola Szymanowskiego i Tadeusza Bairda. W drugiej części z koncertem fortepianowym a-moll Roberta Schumanna wystąpiła światowej sławy polska pianistka Lidia Grychtolówna.

Wizyta w Woroneżu

Z wizytą do zaprzyjaźnionego z Gorzowem Woroneża udała się kilkudziesięcioosobowa grupa przedstawicieli władz województwa i miasta, środowisk twórczych, amatorskiego ruchu artystycznego oraz działaczy społeczno-kulturalnych. Celem wizyty była prezentacja dorobku kulturalnego województwa gorzowskiego w Woroneżu. W skład delegacji wchodził m.in. dyrektor gorzowskiego teatru Antoni Baniukiewicz, literat Zdzisław Morawski i Alfred Siatecki, art. plastyczny Ewa Strebejko i Mieczysław Rzeszewski, dyrektor chośżeńskiego Domu Kultury Jan Kiela.

nadodrza

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PIŚMIO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I piętro oraz dla korespondencji: 65-958 Zielona Góra 8, skrytka pocztowa 46. Telefon: redaktor naczelny 74-34, sekretariat 35-13 oraz centrala 46-61 do 47 (dla telefonów wewnętrznych). Adres 46-61. Redaguje kolegium: Halina Aniska-Skarbek, Janusz Kontusz (red. naczelny), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelnego), Wiesław Nodzyński, Ryszard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.).



Plener tkacki

„Art-Stilon”

W Lubniewicach odbył się doroczny Ogólnopolski Plener Tkacki, którego sponsorem (przede wszystkim surowcowym) były Zakłady Włókien Chemicznych „Stilon”. Co roku plenerowi towarzyszą pokazy robocze prac tkackich oraz wystawy prezentujące dorobek po poprzednim pleneru. W tym roku w gorzowskim BWA otwarto X plenerną wystawę tkaniny artystycznej.

Klub Absolwentów

WSInż.

O powołaniu takiego Klubu myślało już od dłuższego czasu. Absolwenci zielonogórskiej uczelni technicznej pracują w różnych częściach kraju, także za granicą. Ostatnio wielu z nich przyjechało do Zielonej Góry, aby powołać swój Klub w imię integracji środowiska absolwentów i umocnienia związków ze swoją uczelnią. Klub ma także stanowić forum wymiany doświadczeń, zwłaszcza w zakresie technicznego nowatorstwa i zarządzania przedsiębiorstwami. Prezesem Klubu został Zygmunt Głowacz z Rydzyny (woj. łeszczyński).

„Diaporama Polska”

W Lublinie k. Legnicy powołano do życia Polskie Stowarzyszenie Autorów Diaporam „Diaporama Polska”. Jest to konsekwencją organizowanych tutaj od kilku lat ogólnopolskich konkursów „Diaporama Dolnośląska” — w listopadzie br., podczas XII z kolei konkursu, odbędzie się pierwsze nadzwyczajne zebranie tego Stowarzyszenia.

Zaprosili nas

Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Zielonej Górze na ogólnopolską konferencję „Nauka a krajoznawstwo”; WK ZSL w Zielonej Górze, MGK ZSL i Urząd Miasta i Gminy w Bytomiu Odrzańskim na Dni Prasy Ludowej i Książki; Lubuskie Towarzystwo Fotograficzne na otwarcie dorocznej wystawy fotograficznej LTF '88; Muzeum Ziemi Lubuskiej na otwarcie wystawy „Freski serbskie z XIII wieku”; Wojewódzki Młodzieżowy Dom Harcerza w Zielonej Górze na II Międzynarodowy Turniej Tańca Dzieci i Młodzieży; Dyrekcja Teatru Lubuskiego na premierę „Tanga” Sławomira Mrożka; Towarzystwo Przyjaciół Niemiecko-Polskiej w Verdun i Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry na otwarcie wystawy „Verden i okolice”; Galeria Ośrodka Kultury i Sztuki we Wrocławiu „Foto-Medium-Art” na otwarcie wystawy pt. „Świat objawiony nie jest realny” Jerzego Olka; Filharmonia Zielonogórska na inaugurację sezonu artystycznego 1988/89; Lubuskie Towarzystwo Naukowe na wykład prof. dr. Brendana Kovanagha z Royal College of Surgeons in Irland w Dublinie pt. „Problemy współczesnej ornitologii”; Komitet Organizacyjny VII Targów Rolniczych „Jesień '88” na otwarcie związków z tym wystawą na Chynowie; rektor i senat Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze na uroczystości inauguracji roku akademickiego 1988/89. Dziękujemy także Chórowi Akademickiemu WSP w Zielonej Górze „Cantores” za nadesłanie pozdrowień z Itali oraz Andabacie za miłą kartkę spod Giewontu.

redakcja: Maria Fiedorowicz. Sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra, skrytka pocztowa 31. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Dyrektor naczelny: Zbigniew Pietkiewicz, tel. 74-35. Druk: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-076 Zielona Góra, ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmują: Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów (tekstów i zdjęć) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

Zam. 809

Z-20

70 lat Odrodzonej Polski

WAKACYJNY KONKURS -ROZSTRZYGNIĘTY

Otrzymał 486 wypełnionych kuponów konkursowych, w tym 87 z nieprawidłowymi odpowiedziami. Szczególnie wiele kłopotu sprawiła Czytelnikom odpowiedź na pytanie 2 a w kuponie nr 4. Oto prawidłowe rozwiązania konkursu: Kupon nr 1: 1 a. Włodzimierz Iljicz Lenin, b. przewodniczący, 2. 27.XII.1918 (Powstanie Wielkopolskie), 3 a. Gabriel Narutowicz, b. Julian Tuwim, 4. Wojciech Korfański. Kupon nr 2: 1. Katowice, Góra Św. Anny, 2. Stanisław Wojciechowski i Józef Piłsudski, maj 1925, 3. Eugeniusz Kwiatkowski, wicepremier, minister przemysłu, 4. Władysław Broniński, 1939. Kupon nr 3: 1. Wincenty Witos, 2. gen. broni Władysław Sikorski, premier, Wódz Naczelny, 3. Władysław Gomułka, pseud., „Wiesław”, 4. Stefan Rowecki „Grot”, Komendant Główny AK. Kupon nr 4: 1. Ignacy Pałkowski, 2. a. Zygmunt Berling, pułkownik, b. Związek Patriotów Polskich, Wanda Wasilewska, 3. Michał Żymierski, pseud., „Rola”, marszałek, 4. IX Nadzwyczajny, 1981.

Zgodnie z regulaminem losowania nagród dokonała komisja złożona z przedstawicieli, fundatorów nagród: Biura Podróży „Lubuszanin” w Zielonej Górze, Lubuskiego Komitetu Upowszechniania Prasy, Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz naszej redakcji, przy współudziale radcy prawnego ZWP.

Główną nagrodę — dwuosobowe wczasy 2-tygodniowe w okresie świąteczno-noworocznym, w DW „Lubuszanin” w Sosnowcu Górnej k. Karpacza wylosował Jerzy Jeżewski z Trzemesznej k. Gniezna.

Nagrody rzeczowe otrzymują: radioodbiornik „Ania” — Marek Kisiel Sywowie k. Radnicy, Zbigniew Zbikowski, Gorzów i Regina Rafińska, Kargowa. Spiór — Jadwiga Pyżewicz, Zielona Góra. Plecak uniwersalny — Maria Doroszkiewicz, Zielona Góra. Materace turystyczne — Marek Nowak, Gorzów i Piotr Franków Gorzów. Torba turystyczna — Jadwiga Wojtowicz — Racula.

Obrusy — Michał Stojanowski — Zielona Góra i Józef Cieslak — Krosno Odzańskie. Serwety — Danuta i Jan Chybowie, Zielona Góra oraz Bożena Franków, Gorzów. Nagrody książkowe: albumy „Przeciw nicości” — Danuta Kuczyńska, Zielona Góra; „Dzieje Polski w malarstwie i poezji” — Zenon Cichy, Gorzów; „Zegary” — Ryszard Przybyła, Siedlec; „Sporzenie na Warszawie” — Grzegorz Lewandowski, Warszawa oraz H. Osuch, Zielona Góra; książki „Szachy od A do Z” — Adam Cwojdzinski, Gorzów, „Nauka o fotografii” — Teofila Daracz, Zwierzyn; „1000 słów o chemii i bronii chemicznej” — Henryk Domański, Janusz Skrzydowski, Wiesław Czaniecki z Zielonej Góry, Katarzyna Cwojdzinska, Gorzów i Ryszard Masica, Wrocław; komplety książek autorów lubuskich: Maria Karmelita i Bronisław Tokarek z Gorzowa, Ireneusz Juniewicz, Emilia Naumowicz z Zielonej Góry oraz Edyta Aleksander z Zagania.

Czytelnikom, którym dopisało szczęście serdecznie gratulujemy!

Nagrody książkowe wysłaliśmy pocztą, zaś w sprawie odbioru pozostałych nagród prosimy kontaktować się z sekretariatem redakcji „Nadodrza” do 31 października br. — po tym terminie nieodebrane nagrody prześlemy pocztą. Zdobywcę głównej nagrody bardzo prosimy o niezwłoczne skontaktowanie się z Biurem Podróży „Lubuszanin” w Zielonej Górze, ul. Stefana Żeromskiego 5, tel. 34-72 w godz. 8—16.

Pozornie jest jak dawniej, z tą jednak różnicą, że na stole, zamiast golonki, stoi galareta z morską zamaszowaną pietruszką, siedzą a'la Wołodę jowski, choć my wiemy, że mały rycearz sztuką kulinarną się nie trudni. Ciągłe w służbie ojczyzny, zajęty zagami, szarżami, podjazdami i pojedynkami, zapychał żółdkiem byle czym. W najgorszych okolicznościach owsem i sieczka, czyli paszka podkradana własnie mu komuś. Z trungkami też coś nie tak. Wyborowa, ochrzczona przez prymasa Giemby i gen. Jaruzelskiego prze stała być tym czym była.

To, co stało na stole było pełnym po twierdzeniem tezy, że świat idzie ku gorszemu. Zapis taki utrwalony na papierze, został po raz pierwszy skreślony w starożytnym Egipcie.

Mnie ten stół wzruszył. Przypominał bowiem najlepsze czasy naszej redakcji, gdy takimi bankietami honorowali my laureatów naszych dorocznych nagród, za zasługi dla kultury polskiej na Nadodrze.

Moje wzruszenie było odosobnione. Reszta towarzyszy, dyrektorzy kilku sporych zakładów przemysłowych, rządzący wielomiliardowym majątkiem na rodzimym, dziabając morską, odkładając pietruszkę do pustego wazonu, mieli miny, jakby nie z drugiego etapu reformy gospodarczej a z samej głębin kryzysu. Zerkali nie w stronę sędzia a'la Wołodę jowski, nawet nie w stronę kieliszków. Byli wyraźnie zajęci oku partami innych stółków.

Firmy polonijne, prywatna inicjatywa, własnoręczne dorabianie kluczy, malarstwo pokojowe...

Martel, ciznawa, mariboro, szynka „Krakus”... Tym to dobrze.

Panowie Kapitanowie! Ja was nie rozumiem — włączyłem się w dialog. Macie swoje „S”, nawet cztery „S”, moście swoją energię, inicjatywę pomysłową, właściwie ukierunkowywać. Czego jeszcze pragniecie?

Glupi, albo takiego uduje.

Naganę przyjąłem z pokorą. — Biedacy, myślałem. Ledwie odzyszczailli się od podróżyowania taczkami, wyrenowali łagodzenie sporów między samorządem a związkami zawodowymi, wywieili się we współpracy z komitetami zakładowymi, jakoś wchłonęli w siebie

trudności obecnego etapu rozwoju, nauczyli się czytać pisane do góry nogami ustawy gospodarcze, a tu nowy pasz tet.

Panowie! Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej pod chwylowym kierownictwem prof. prem. Zbigniewa Mesnera, trwać będzie tylko tyle, ile trzeba. Potem będzie inny rząd. Fachowy, menedżerski, odważny, wierzący, niewierzący. Może zaproszą kogoś z panów na funkcję ministra?

Niech Bog broni! — powiedział dyrektor ateista. — Wole dyrekcję przedsięwzięcia zagranicznego.

Towarzysza tak bardzo podnieca szynka „Krakus”, papieros mariboro?

Jestem niepalący.

Więc o co chodzi?

Czy redaktorowi wiadomo, co to jest socjalistyczne przedsiębiorstwo przemysłowe? Tak? Więc powiem, co zajmo wało mnie ostatnio. Mamy nad Bałtykiem skromny ośrodek czasowy, dawno wybudowany, wymagający remontu. Gdy już udało się złapać murarzy i malarzy do remontu, wyłonił się problem lodówek, telewizora kolorowego, pręci cierań, kolder i dywaników przy tap czanach.

Trzeba było sprawę zlecić służbie zaopatrzeniowej.

Kochany! służba zaopatrzeniowa przeznaczona jest do celów wyższych. Powiedzmy, że załatwiłem to co trzeba — telewizor, dywaniki. Nie powiem, jak to zrobiłem. Odetchnąłem z ulgą. Ludzie pojechali na wczasy zakładowe. Wypoczęli.

Nie można było pozbyć się tej budy nad Bałtykiem? Powiedzmy, sprzedać ją krasuś innemu?

A w jaki inny sposób utrzymam załogę?

Doprawdy. Zazdroścę koleżde dy rektorowi jego trosk. Bo ja miałem całkiem inny problem. Zajmowałem się tym maczeniem gronu osób z mojej załogi, że na terenie państwowej fabryki budowa nie kaplicy i odprawianie nabożeństw nie ma charakteru priorytetowe go. Ze przydałoby się kilka nowych maszyn. Kościół jest blisko. Jak ktoś ma nieodpartą potrzebę modlitwy, spowiedzi, dam przepustkę do kościoła, chociaż wiem o pewnej dziurze w płocie, przez którą robotnicy przemijają się do huddi z piwem.

Gratuluję owocnej perswazy. Ja zajęty byłem zupełnie inną rzeczą. Położyłem rękę na pieniądzech. Nie zgodziłem się na organizowanie klubu piłki nożnej. Powiedziałem — chcicie kopać? Bardzo proszę, byle za własne własne pieniądze.

U mnie jak wiecie, załoga jest nieustabilizowana, dziś dominuje młodzież, która chce mieć rodziny, mieszkania, meble, samochody. Ja się temu nie dziwię, choć wiem, że w obecnym tempie zaspokajania potrzeb, te aspiracje materialne są poza horyzontem czasowym ludzkiego życia. Ci chłopcy byli zbyt młodzi aby zaznaczyć się w „Solidarności”. Jest to dla nich organizacja, która prze grała batalię. Mimo tego, podczas ostatnich strajków na Śląsku i Wybrzeżu, chcieli i oni postrajkować. Solidarnościowo. Strajku nie było. Jednak zaopatrzenie sklepów w mięso nadal jest po dle. Złotego sera nie uświadczyć. — Widzicie, panie dyrektorze jak to jest? zapytał młody tokarz. Po chudy serek się stoi? Po twarożek?

Uświadomiłem sobie, czym dziś jest socjalistyczne przedsiębiorstwo przemysłowe. Opiekunem społecznym. Areną walk politycznych. Miejscem udzielania pociech duchowych. Organizatorem sportu. Jeleniem, którego starają się naciągać wszyscy. Socjalistyczne przedsiębiorstwo jest wielbłądem, który ma udźwignąć każdy ciężar. Są w świecie wielbłądy jednogarbne, dwugarbne, natomiast czolowce światowej genetyki nie udało się osiągnąć tego co my mamy — już zaliczone — czterogarbne dro madery opłatanie zobowiązaniami, z których dobre wywiązywanie się jest niemożliwe, natomiast możliwe jest zapomina nie o wartości podstawowej — wytwarzaniu dóbr i wartości społecznie użyte czynych.

Galareta z zawartością morską i natki, dzwonko jakby szumnie nie nazwane, wyborowa z dodatkami karbidu, nie zastąpi ani golonki, ani porządne go alkoholu, z którego produkcji kraj nasz słygał. Zrozumiałem tęskne spojrzenia znajomych kapitanów przemysłu w kierunku stołów okupowanych przez inicjatywę gospodarczą nieskrepowaną niczym poza robotnictwem zysku i żywieniem fiskusa.

RYSZARD ROWIŃSKI

MaRGINaTKi

WYŻYNY NIENACKIEGO. Tatiana Kwaśniewska na łamach „Rzeczywistości” (nr 37) omawia najnowszą powieść Zbigniewa Nienackiego „Wielki Las”, konstatając m.in.: „Pod względem kompozycji i stylu Nienacki wpisuje się tym razem na wyzyny. Wartość akcji, barwność postaci i bogactwo sylwetek psychologicznych, wreszcie dramatyzm akcji, przypominają jego najlepsze powieści przygodowo-sensacyjne. Jedyną jezyka przywodzi tu na pamięć jego naj lepsze fragmenty „Skroślawek”. Chodzi oczywiście o fragmenty erotyczne, bo to są właśnie wyzyny Nienackiego...”

CO ROBIĄ STUDENCI. Jak donoszą „Szpilki” (nr 36), studencki kabaret „Drugi garnitur” z Zielonej Góry uhonorowany został nagrodą główną Festiwalu Artystycznego Młodzieży Akademickiej, która wyniosła 150 tys. zł. „Szpilki” piszą: „Przeprzję pewno nagrodę, albo wydadzą na dziwki, zacy znani są od średniowiecza z zamilowania do utracjusztwa”. O dziwki w Zielonej Górze trudno, łatwiej o alkohole. Tym się różniły od średniowiecza.

HEJ, W ZIELONOGÓRSKIE LASY! W 35 n-rze tygodnika „Sprawy i Ludzie” Wacław Dominik pisze o odkrytych w Brodzie Śląskiej zabytkowych skarbach oraz dalszym ich poszukiwaniu. Podobno w tym celu jeden z dziennikarzy wrocławskiej gazety wyjechał aż w zielonogórskie lasy. „Zauważono, że często przechadzał się z kobiąką i ze szpadem” — zauważył jeden z bohaterów tekstu. — „A nie lepiej przetrząsnąć lasy zielonogórskie? Sąsiedzi wskażą miejsce, w których kopał Malak” — dorzucił inny rozmówca. Po takim dialogu, uzbroszeni w szpadle, zapuścmy się w lubuskie knieje. Może dopisze szczęście?

BUFONADA. W najnowszym 7 n-rze „Miesięcznika Literackiego” Włodzisław Sokorski publikuje „Notatnik Ta joramy”. O tej prozie dokumentalnej pisze jeden z redaktorów, niejaki Z.T., przyznający się do związków z nurtem chłopskim w literaturze. Ze stylu tej wypowiedzi można wnioskować, iż autorem prawdopodobnie jest Zygmunt Trzaska. Bo kłóży inny mógł tak bufonować napisać: „Na lata dojrzałości ma Sokorski nie mniej czasu niż piszący te słowa, niech tylko papież i papier pozwolą, jeszcze pokażemy swoje samo urzeczywistnienie”.

Mało się mówi o tym, że każde urzeczywistnienie zależy od znajomości świata, w którym przyszło żyć. Sokorski zna ten świat lepiej niż własną kieszeń, mo że nie pustą w środku, ale wydrążoną, można z niej wysupłać na koszarową egzystencję, choć dotyczy to raczej mnie

nie S.” Czyżby po wyeksploatowaniu te matu pł. Buczkowski, Z.T. postanowił bliżej zająć się swoim szefem?

SPOŚOB NA ŻYCIE. Piotr Kuncewicz, którego już dawno nie cytowaliśmy, w 251 odcinku swej opowieści-rzeki o dziejach polskiej literatury współczesnej („Przegląd Tygodniowy” nr 37) tym razem zajmuje się twórczością Lesława M. Bartelskiego. Na wstępie krytyk stwierdza: „Wiemy, że rozpierany żądzą władzy i bogactwa zaczął działać w mi licji, ciegielnictwie i piekarnictwie i że szybko zrozumiał, że w państwie zwycięskiego proletariatu trzeba być prole tariuszem. Dlatego chwycił za pióro.” I teraz jako lumpeninteligent ma za swoje!

TANIE WCZASY. Jak usłyszeliśmy w magazynie radiowym „Z kraju i ze świata”, emitowanym 13 września z Warszawy, Huta z Legnicy urządziła ta nie wcasy swoim pracownikom w Os nie, „w województwie lubuskim”. Zaw sze twierdziliśmy, że przymiotnik „lu buski” jest dobry na każdą okazję.

CO JEST GRANE? Pod takim tytułem „Przegląd Tygodniowy” (nr 38) publiku je w swoim „Lewym marginesie” następu jąca informacja: „Dziennikarz sporto wy z Zielonej Góry, M. Więckowicz, zwierzył się publicznie, iż pewien dzia łacz przekazujący mu informacje z me czu międzynarodowego, zamiast podać nazwiska strzelców bramek, prosił by napisać, że na stadionie byli obecni se kretarz KW i dyrektor wydziału Urzędu Wojewódzkiego. Przynajmniej tam ten dobrze wie, co jest grane i do czyjej bramki”. Nas takie żądanie nie dzi wi zważywszy, iż kryzys polskiej piłki nożnej jest jak na razie zjawiskiem trwałym...

POPIERAMY. Redaktor naczelny tygod nika „Veto” poinformował ostatnio o procesie, jaki mu wytoczył dyrektor wrocławskiego „Polaru” za krytykę ja kości wyrobów tej fabryki. Popieramy red. Nalecz-Jaweckiego, bowiem już po raz trzeci reklamujemy chłodniarkę TS 176, produkcji tegoż „Polaru”. Jak st wierdził ekspert, jest to cała seria „do kitu”. Zważywszy na stracony czas przy załatwianiu reklamacji oraz ponie sione koszty, sądzimy iż dyrektor „Po laru” winien z własnej kieszeni zapła cić za spowodowane szkody społeczne. Dobre samopoczucie szefa „Polaru” nas nie interesuje.

SILA PRASY. W 38 numerze „Veto” znajdujemy informację niezbyt krzepią cą: „Z satysfakcją informujemy, iż red. Janusz Kotarski, który pozwolił so bie na groźby względem TTK „Veto” oraz polemizował z red. Andrzejem Na lecz-Jaweckim, nie pełni już funkcji rzecznika prasowego Ministra Finan sów. Miejszyny nadzieje, że nowy dorad ca prasowy zechce lepiej współpraco wać z naszym tygodnikiem. Niestety...”

Co, niestety? Jeśli nie współpracuje, to też przecież można go usunąć.

I JESZCZE RAZ „VETO”. Zwykle z sympatią piszemy o rozwoju lubuskie go rzemiosła. Ale oto Krystyna Zielins ka („Veto” nr 38) dostarcza nam kropli dziegciu, cytując list Bronisławy B. z Zagania: „12 czerwca 1985 roku piszę do Obywatela Prezesa Izby Rzemieśniczej w Zielonej Górze: „Zwracam się z uprzejmą prośbą o udzielenie pomocy w nabyciu wieloczynnościowej maszyny do szycia. Prowadzę zakład rzemieślni czy i maszyna kupiona przed kilkunastu laty jest już do niczego. Do terminowe go wykonywania usług konieczny jest sprawny sprzęt, ale go na rynku brak. Nie ma także części zamiennych. Potrzebuję też pilnie żelazka krawieckiego go.” — Dwukrotnie w następnych la tach Izba Rzemieślnicza odpowiada za interesowanej, że nie dysponuje żadnym przydatnym i że ostatni miał miejsce przed trzema laty. Wreszcie bohaterka sprawy zawiadania mnie, że z żelaz kiem to sobie poradziła, ale na maszynę czeka nadal, no i podatki oraz składki płaci sumiennie.” Jeszcze trochę cierpli wości — rok 2000-tysięcy już blisko! Może i maszyny do szycia pojawią się w sklepach?

TROCHĘ ZMARNOWANY TEMAT. Ta kim tytułem opatrzyła Wanda Jesionow ska omówienie powieści Tadeusza Ja sińskiego, byłego Lubuszanina a dziś mieszkańca Lublina, zatytułowanej „Wy kapiasz się w tej samej rzecz” („Nowe Książki” nr 6). W zakończeniu autorka pisze: „Autor nie jest debutantem. Ma na swoim koncie kilka zbiorów opowia dań, wiele reportaży, nawet sztuki tea tralne. Dlatego trzeba do jego powieści przykładać inną, bardziej wyśkalowaną w górę miarę ocen. I to, co zadowoliłoby może debianta — np. stwierdzenie, że jest to powieść „średnia” — autorowi z pewnym dorobkiem zapewne pozwoli ją odebrać jako zachętę do bardziej przemysłanej, pełniejszej i ambitniej szej prozy literackiej.” Ta zachęta jest już mocno spóźniona.

BENIAMINEK KRYTYKI. Pisaliśmy już o żywiołowym rozpasaniu po czaso pismach dyplomowanego chwały z Bydgoszczy — recenzenta, poety i pracownika naukowego Dariusza T. Lebio dy. Tym razem jego owocną działalność, ale jako krytyka pisującego o malarstwie, podsumował zwięźle na łamach bydgoskich „Faktów” (nr 38) Jerzy Wójcik: „Niestety, jak wielu ludzi w Polsce i on nie może trafnie określić, gdzie znajdują się granice jego kompe tencji. Uniesiony, być może najlepszymi chęciami, bierze się do krytyki artystycz nej i to w dziedzinie malarstwa, ze skut kiem przeciwnym od zamierzonego, gdyż — chcąc nie chcąc — stanowi jesz cze jeden przykład niskiego poziomu i braku umiejętności, tylko że w dziedzi nie krytyki artystycznej”. Nic dodać, nie ująć.

21	4	7	
BIRTHLON 10 KM 1980	80 M PPŁ. Kobiet 1964	100 M MĘŻCZYN 1972	SKOK WZWYŻ MĘŻCZYN 1976
11	19	18	23
FLORET MĘŻCZYN 1964	6	SKOK W DŁG MĘŻCZYN 1960	STRZELE CTWO 100 Y 1908
13	20		
SKELE TON 1928	5	PIŁKA NOŻNA BRAMKARZ 1972	ZAPASY ST. WOLNY 100 KG 1924
22	9		ZAPASY ST. KLAS. 48 KG 1984
12			14
ZAPASY ST. KLAS. 100 KG 1952	13	PIYWANIE MĘŻCZYN 1500 M 1936	SKOKI Z TRAMPOLNY MĘŻCZYN 1948
10	3	2	
GIMNAST Kobiet C.W. WOLNE 1956	SKOKI Z TRAMPOLNY Kobiet 1948	GIMNAST MĘŻCZYN C.W. WOLNE 1960	ZAPASY ST. WOLNY 68 KG 1956
		15	1

WIROWKA OLIMPIJSKA

Opr. Janusz Filiczowski
Zielonogórski Klub Szaradzystów „La brys”

Do diagramu należy wpisać prawo skrotnie nazwiska zdobywców złotych medali olimpijskich w podanych latach i konkurencjach. Litery z pół ponumero wanych od 1 do 23 tworzą rozwiązanie.



nie, które prosimy (z naklejonym kupo nem) przelać na adres naszej redak cji w terminie 14 dni od daty ukaza nia się numeru. Do wylosowania będą dwie nagrody książkowe.

Rozwiązanie eliminacji z nr 18:

Prawidłowe hasło brzmiało — „Zielo na Góra wita gości przybyłych na Gody Winobrania”. Bony oszczędnościowe PKO wartości 1.000 zł każdy, ufundowa ne przez Komitet Organizacyjny Dni Zielonej Góry wylosowali: Anna Romaniuk z Nowej Soli, Wiktor Gryszkiewicz z Krosna Odrzańskiego, Bogusław Olejarczyk z Jawora, Mirosła wa Szymańska ze Sławy oraz Maria Orska z Ilowej k. Zagania. Gratuluje my. Nagrody przesłane zostaną pocztą.



Rys. MIROSLAW NOWAK